AS



Nr. 13
28 MARCA 1937 R.

KRÓLOWA KWIATÓW

FRANCES FARMER FOT. POLONSKY

Pan doktór Łabędź

OBRAZEK Z DAWNEGO POLESIA

Napisał FELIKS DANGEL

Działo się to w tej bardzo zamierzchłej epoce, gdy na świat poszły wieści od Paryża o przedziwnych żonglerkach duszą człowieczą, którą eksperymentował profesor Charcot, kładąc podwaliny pod nową gałąź wiedzy: neurologję, działo się to wtedy, kiedy Chałubiński odkrywał Zakopane, kiedy poczta raz na tydzień doręczana była na odległem Polesiu i gdy na widok „maszyny parowej" chłopi znaczyli znak krzyża i uciekali furmankami, zacinając konie, przed Antychrystem.

O jakże to wielce odległe czasy! Błąkali się jeszcze wtedy po ziemiach polskich, dalekich wsiach i dworach ludzie, co kiedyś z kapiszonówką poszli w las, wychowankowie Szkoły Głównej, błądzący sercem, pomiędzy teorją Darwina a romantyzmem najszczerszym, który się błąkał gdzieś w rejonach mlecznej drogi...

A jakież to wtedy były Święta Wielkanocne! Może na wstępie zdawałoby się, że przytoczone nazwiska wielkich „świętych" medycyny, niewiele mają wspólnego ze zwojami kiełbas i ciasta, ale przecież, mówiąc o doktorze Łabędziu, starym domowym lekarzu, trudno by było wymieniając jego, przedstawiciela dawnej medycyny, nie podmalować wielkanocnego tła, bo przecież tych świąt właśnie był on wraz z cukrowym barankiem wielkanocnym nieodłącznym akcesorium.

Może już niema nigdzie po zakątkach wsi polskiej takiego typu domowego doktora, ubraneg w długi, czarny żakiet, spiętego pod szyją rozłożystym plastronem, dźwigającego przy kamizeli zegar złoty, kluczykiem nakręcany, przymocowany do właściciela długim i masywnym łańcuchem, na którymby od biedy wiązać można było nieświeskie niedźwiedzie, albo kieniewiczowskie rozpłodowe buhaje.

Nad wszystkimi tymi akcesorjami ubrania spoczywała siwa głowa, o błękitnych szeroko rozwartych oczach krótkowidza, z pożółkłymi od nadużywania tytoniu wąsami i pogodnym uśmiechem, uzdrawiającym samym przez się.

Woził ze sobą wielką walizę, w której prócz instrumentów małej chirurgji woził flachy potężne, trois-quary do przebijania krów, sondy gumowe oraz lampę przedziwną naftą się palącą, którą przy badaniu gardła omal, że nie wtłaczał w usta delinkwenta.

Gdy powiemy, że dzielił jeszcze ludzi na dwie kategorje: na tych „co poszli wtedy do lasu" i na szubrawców, będziemy mieli obraz przedziwnego doktorunia, którego diagnostyka nie była zbyt skomplikowana, terapeutyka prosta, serce złote, a głowa pełna dziwacznych pomysłów.

— Przyjeżdża — powiadam ci kochanie — kiedyści tutaj do mnie pan Anzelm i powiada tak:

— Ratuj doktór — Marynka moja prawie że zdychająca.

— Popatrzył ja wielkimi oczyma, obruszył się ja na takie dictum o niewieście i pytam coby jej było. A on powiada, że chodzić nie może, że wzdęło ją i że żarcia nie bierze.

— A gorączkę ma? — pytam się.

— A czort ją wie — odpowiada Anzelm — tylko nogami przebiera i pstrzy na mnie tak, aż serce się kraje.

Powiadam ja jemu: postawić pół kopy pijawek, brzucho rozcierać, rumianku dawać, a najważniejsza to — ciepłą pierzyną przykryć i rosół z kury podawać.

— A jak brać nie będzie? — pyta Anzelm.

— To czyż pan męskiej powagi nie masz, a jak nie posłucha, to siłą wlać w gardło.

Przyjechał ja za dwa tygodnie, a widzę Anzelm do mnie wychodzi utrapion wielce i powiada:

— Nic medycyna nie pomógłszy — dziś ducha wyzionęła.

To powiadam wam, ludzie kochane, nogi mi w ziemię wrosły jak wierzbie i powiadam:

— A kiedyż?

— Dziś rano zdechła i kopyta wyciągnęła. Fornal zajrzał pod pierzynę, którą my ją przykryli, a ona już zimna. Po zadzie poklepał — nic. W brzuch nogą trącił... nieboszczyk.

— A cóż fornal miał klepać po śmierci nieboszczkę?

— Przeć wychował od maleńkości, i jeszcze źrebakiem karmił z soski.

Idę ja w dom złamany srodze, aż tu pani Marja wychodzi zdrowa jak łania, a wszystko się potem pokazało, że on o kobyłce mówił i klaczy rosół kurzyny w gęba lał.

Takim był poczciwy doktór Łabędź i takim znali go wszyscy, spieszącego zawsze w potrzebie i autorowi słów niniejszych tylko wiadomo, wiele naprawdę mu ludzkość zawdzięczała.

Największym jednak wzięciem cieszył się w czasie Świąt Wielkanocnych. Był poprostu rozchwytywany. Zatrzymywany na dni kilka, zawsze kojący skutki nadużywania zbyt sytnego Święconego.

A konsultował zawsze zbiorowo.

„Przy stole śniadaniowym udzielał porad medycznych wszystkim zebranym nie biorąc pod uwagę różnicy płci ni stanu pokrewieństwa, uważając chorobę za coś tak naturalnego, jak wszystkie objawy życiowe.

Bywało czasami, że konsultowanej osobie na głos robił djetetyczne uwagi:

— Nie żraj, szambelanowo jajek na twardo, bo znowuż cia skręci i po nocy po dworze latać, nie daj Boże w koszuli będziesz. Zaziębiasz sia i bańki cięte postawia.

— Kiedy mam apetyt.

— Nie można dogadzać grzesznemu ciału, lepiej byś nadmiar dobra biednym rozdała.

Bo on rozdawał zawsze wszystko co miał i sam nic nigdy nie miał. Mieszkanko jego w pobliskiej mieścinie powiatowej było kliniką weterynaryjną, w której gromadził wszystkie schorzałe psy, koty i poronione z gniazda ptactwo, na podwórku jego domostwa gromadziły się zawsze furmanki, zwożące z najodleglejszych gmin ofiary kuracji znachorskiej. I leczył wszystkich tam na dworze, wśród furmanek się uwijając, znając wszystkich i wszystkim mówiąc po imieniu.

— Eh, ty gad przebrzydły — o konia dbasz, kobyła szanujesz, a własna baba tobia nic. Patrzaj teraz, Pawluk, co będzia i dziecka nie będzie i baba zamrze. Ale krzątał się i dopomagał do ostatka.

A właśnie w tym okresie, gdy rzeki wezbrały mętną wodą, gdy ziemia ogrzana promieniami słońca prężyła się od rodnych lubości, gdy olcha zakwitła i zanuciły drozdy po krzakach, Mikołajowa od wielkiego czwartku stwarzała w spiżarni cud, który miał olśnić wszystkich i kulinarną sławę domu uwiecznić w kronikach.

Był to tort arcywspaniały. Dwa razy posyłano umyślnego konnego do miasteczka, po cukier i migdały, ekstrapocztą sprowadzono czekoladę od Wedla, a Mikołajowa chodziła jak guślarz pogański, tajemniczo namaszczona, zamykając w spiżarni swój majstersztyk na klucz.

— Moja Mikołajowo, ja tylko raz zajrzę, jeden jedniusieńki!

— Pójdziesz, zła siło, już ciebie słodkość kusi, ale niedoczekanie twoje.

— No to trochę migdałów, choć jeden malutki.

— Masz tu i odczep się, bo starszemu panu powiem.

Aż tutaj, w dzień, kiedy majstersztyk miał zabłysnąć przed światem, wybuchła tragedja. Gdyby przed gazonem dworu wybuchł wulkan, albo ukazał się djabeł Rokita, Mikołajowa nie narobiłaby podobnego larum. Otworzyła śpichlerz i skamieniała. Tort, ten wspaniały tort, który miał wyrastać nad stołem wielkanocnym jak zamek Alkazar, przedstawiał sobą ruinę i zniszczenie.

Wspaniała czekoladowa piramida sterczała wykrzywiona sentymentalnie, róże zdobiące go widniały jak plamy porozcierane, brudne i obrzydliwe, a samo ciasto tortowe zapadło się i wklęsło, jak stara mogiła.

Głosem, któregoby jej mógł pozazdrościć Mojżesz, rzucający klątwę na czcicieli cielca, wpadając w dom, krzyczała:

— To jego łajdactwa! to on dobrał sia!

— — — — — —

Ale doktór Łabędź, który dnia tego zajechał, dobry i łagodny staruszek, jak się okazało, był stanowczo przeciwny egzekucjom doraźnym i jako stary konserwatysta uznawał zasadę „Neminem captavabimus".

— O mein lieber Augustin, patrzaj, jakaż ta sztuka zrobił!

— Kiedy to doprawdy nie ja, panie doktorze.

— Facetnyś ty i na ciebie to patrzy.

— Kiedy jak ojca kocham, to nie ja.

— No — zobaczymy!

I nic nikomu nie mówiąc, chodził po domu i pilnie na wszystko uważał, aż wreszcie, gdy odremontowany jako tako tort, mimo zniszczeń wypłynął między baranka a baby rzeżuchowe, doktór popatrzył poczciwymi swymi oczyma w nachmurzoną twarz ojca i powiedział:

— Grzech to największy — niema stworzenia i niewinna dziecka ukrzywdzić!

— Co doktór tym samym perswadujesz?

— Pilnuj sąsiad lepiej swoja żywioła domowa, a dziecka nie biej.

I cóż się okazało? Oto, korzystając ze swej wąskiej i niskiej budowy przez zakratowane okienko, wślizgnął się do spichlerza *„Kruk"*, jamnik i na jego bakenbrodach doktór Łabędź odnalazł resztki tortowej politury.

A potem Kruczkowi dał jakąś ingredjencję, bo po torcie Mikołajowej wielce zachorzała psina.

Jeździł po wsiach i dworach, a potem w krwawych dniach pożogi leczył dzieciaki wiejskie, które umierały na tyfus i cholerę w tym kraju, z którego wygnano Boga.

— Jaż im mówił zawsze i powiadał te para tysięca lat za mało, by z barbarzyńcy zrobić człowieka.

A potem sam zachorował starowina i ludziom, którzy go jeszcze spotykali, chwiejąc głową powiadał:

— Medice cura te ipsum!

— Stary już jestem i czas mi już odchodzić, wyzbyli mnie ziemi rodzinnej a pamiętasz pan, co mówili o jakimś Rzymianie, czy Greku, który ręka na rodzona ziemia położywszy, odżył od nowa i pomłodniał. Moża by to i mnie uzdrowiło?

— — — — — —

Ustawmy bazie między babkę kryzysową, która niczym nie przypomina ciast starej Mikołajowej i między barankiem, który tamtego przypomina.

I święćmy gody Zmartwychwstania.

Choć niema już domu, który pachniał starymi latami, choć niema już poczciwej, anegdotycznej postaci doktora Łabędzia...

Nad nim i nad zgliszczami domu porosły już chwasty wspomnienia a świat się budzi do nowego życia.

Alleluja! Alleluja!

Numer powiększony — 40 stron druku.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy.

Numer 13 | **Niedziela 28 marca 1937** | **Rok III**

ASY NUMERU 13-GO:



Wiosna w Bronowicach.
Fot. „As".

Serdeczne życzenia Wesołych Świąt
składa Czytelnikom, Korespondentom i wszystkim Przyjaciołom „Asa" Redakcja.

INDJANIE
NA ŚCIEŻKACH KANADY



Na lewo: Indjanin Żółta Głowa.

BEZLITOSNYM MIŁOŚNIKIEM PRZYRODY nazwał najznakomitszego polskiego podróżnika i pisarza Arkadego Fiedlera, jeden z krytyków, Tadeusz Breza, zarzucając autorowi książki „Ryby śpiewają w Ukajali" brak humanitarności. Jako jeden z dowodów przytoczył Breza z wspomnianej tu książki, wyróżnionej niedawno nagrodę literacką Poznania, scenę, odtwarzającą zastrzelenie wspaniałego kolibra po jego walce z sokołem.

Jakby odpowiedzią na ten zarzut są epizody do głębi wzruszające właśnie humanitarnością podróżnika i jego sercem dla wszystkich stworzeń przyrody, epizody autentyczne, prosto i szczerze wyznane w najnowszej jego książce „Kanada pachnąca żywicą" (która, podobnie jak i „Ryby śpiewają...", ukazała się nakładem „Roju". Z niej zaczerpnęliśmy częściowo materjał ilustracyjny, gdyż ozdobiona jest kapitalnemi fotografjami jej autora).

Obserwując niesłychaną drapieżność szczupaków, pożerających się wzajemnie w wodach rzek i jezior kanadyjskich, gdzie niema innych ryb na pokarm, Fiedler snuje rozważania, które i do człowieka odnieść można...

„Głód i drapieżność to, obok miłości, najważniejsze funkcje życiowe. Służą najwyższemu celowi przyrody: utrzymaniu gatunku. Więc jeżeli szczupaki w niepojętej drapieżności pożerają swój własny płód i niszczą swój własny rodzaj, to dzieje się tutaj jakaś wielka tragedja. Jakieś straszliwe nieporozumienie. Przyroda oszalała i gwałci swoje najświętsze prawa, — prawa życia...".

Czyż i my, ludzie, bawiący się w towarzystwa ochrony przyrody czy zwierząt, litujący się — nie przeczę, że to szlachetne — nad każdą wiewiórką lub Azorkiem, nie pożeramy własnego potomstwa, nie niszczymy ludzkiego rodzaju wzajemnie...? — Przy lekturze książek Arkadego Fiedlera przypominają mi się mądre i piękne słowa poematu Zegadłowicza „Podkowa na progu": „Człowieku!... Częścią przyrody jesteś i niczem tego nie zmienisz i wznieść się ponad to nie zdołasz!...".

By jeszcze silniej obronić Fiedlera przed krzywdzącym zarzutem braku humanitaryzmu i bezmyślnego, bezlitosnego krzywdzenia przyrody, przypominam, co przeoczył Breza, że nad Ukajali padały liczne strzały w celach naukowych, bo Fiedler musiał pamiętać o powiększeniu muzealnych zbiorów, służących do poznania prawdy i piękna przyrody. Nad wodami i w puszczach Kanady nie myślał o zbiorach, i wówczas boleje i wstydzi się, kiedy porwany gorączką myśliwego, zabija niedźwiedzicę, a w czasie polowania na łosie, gdy towarzyszący mu Indjanin Lisim naśladuje wołanie łoszy i samiec się zbliża, rzuca precyzyjną broń, powolny zrodzonemu na dnie duszy buntowi:

„Nie. nie strzelę.. Płomień trawiący go (łosia), to najświętszy szał puszczy. Przyroda rozpaliła tu najszlachetniejszy swój znicz. Nie wolno go gasić podstępem. Temu samemu prawu podlega w najwyższej ekstazie zarówno człowiek, jak zwierz. Obydwaj czerpią z tego samego źródła, obydwóch przeszywa ten sam grom. Łoś jest mi bliski. Jest mi bliższy, niż człowiek, chytrze go okłamujący. Nie strzelę...".

Zawziętego i zapamiętałego podróżnika i myśliwego pokonał — człowiek. Zamiast



Arkady Fiedler w obozie nad jeziorem Marmette.

Na prawo: Flirt z wydrą.





Na prawo: Na szczytach gór Narodowego Parku w Kanadzie.



Na prawo: Dzieci Indjan ze złowionymi łososiami.



Fiedlera, strzelił Lisim, ratując zresztą obu przed groźnemi, ogromnemi rosochami rozjuszonego łosia. „Lisim jest wciąż jeszcze przerażony — wspomina Fiedler. — Spogląda na mnie ukradkiem, z zaciekawieniem, jakiś niespokojny, zachwiany, inny. Zapewne w indjańskiej duszy coś świta. Może Indjanin zaczyna rozumieć białego człowieka?"...

CZERWONI I BIALI są bohaterami „Kanady pachnącej żywicą", która właśnie dlatego wnosi nowy, głęboki ton do twórczości Fiedlera i jest osiągnięciem doskonalszem od poprzednich książek. Przyroda jest w tej, wspaniale skomponowanej i z wielkiem kunsztmistrzostwem słowa i stylu napisanej książce nie wyłącznym bohaterem, jak w poprzednich dziełach autora „Zwierząt z lasu dziewiczego", ani tłem, jak u wielu innych podróżopisarzy, ale równie ważnym współaktorem wzlotów, a częściej tragedyj ludzkich.

Fiedler nie pojechał do Kanady jako Europejczyk pyszniący się tradycjami i rzekomą wyższością swej cywilizacji nad życiem ludów niedawno stosunkowo do historji wprowadzonych. Pojechał jako człowiek kochający drugiego człowieka, rozumiejący go, nigdy go nie nienawidzący, ale niejednokrotnie za błędy i ciężkie przewiny drugiego mocno się wstydzący. Gdy szczegółowo poznał dzieje odkryć Ameryki, historję Indjan, gdy na ścieżkach Kanady zetknął się z ostatnimi ich przedstawicielami — musiał częstokroć cierpieć za czyny białych, współczuć serdecznie z czerwonemi twarzami.

„Sto lat temu, i później, biali ludzie przywozili do puszczy alkohol i rozpijając Indjan Cree, wzamian wyłudzali od nich skórki. Dziecięce umysły leśnego ludu nie znały umiaru. Trucizna pustoszyła szczep, niszcząc i zabijając ludzi. Lecz znalazły się wkońcu



Sposób noszenia dzieci przez Indjanki Cree.



Łoś z hałaśliwym pluskiem brnie przez rzekę.

wśród białych jednostki uczciwe i położyły kres zbrodniczym praktykom. Odtąd nie wolno sprzedawać Indjanom alkoholu pod ciężką karą.

Drugą straszliwą chorobę przywieźli im biali tuż przed wojną światową. W r. 1911 ukończono wielkie dzieło cywilizacji, budowę północnej kolei żelaznej z Quebecu (poprzez stację Oskelanoe) na zachód do Winnipegu, lecz równocześnie biali robotnicy przy kolei zaszczepili w lasach nieznane dotychczas choroby, tesame, na które chorują nasi Huculi. Plemiona zaczęły karleć i ginąć. Dopiero po latach opanowano klęskę. Czerwony człowiek wyszedł z niej porażony i poniżony.

A dziś? Kolej przyszła na trzecią chorobę, na gruźlicę. Tragiczną jest cywilizacja białej rasy. Dotyk jej, nieszczęsny dla ras pierwotnych, jest jak dotknięcie rubasznym palcem motylich skrzydeł: zdziera barwę i niszczy. Niszczy nawet wtedy, gdy biały człowiek okazuje przyjaźń i pragnie zachować przy życiu.

Biały człowiek otacza życzliwością Indjan Cree. Chce ich dobra. Więc daje im swoją broń do walki o byt. Motor przyczepia do ich kanu (łodzi), ciało ich pokrywa ubraniem z wełny, karmi ich swojem pożywieniem, mąką, cukrem, chlebem. Wynikiem tych darów cywilizacji jest — gruźlica. Bo Indjanin jest człowiekiem lasu. A człowiek lasu powinien wiosłować; przy motorze mroźny wiatr zaziębi płuca. Człowiek lasu chodził zawsze w ubraniu ze skóry łosiowej, chroniącej go od deszczu lepiej, niż wełna; nigdy nie znał wełny. Człowiek lasu zawsze jadł pokarm leśny: mięso zwierzyny i obcy był mu pokarm pól — chleb i mąka.

Obijuan wciągnięto w kolisko światowej gospodarki. To znaczy, że cywilizacja potrzebuje skórek futerkowych. Posyła po nie do lasu prostych Indjan Cree i płaci im towarem wyrafinowanym: motorami, benzyną, wełną. Motory i ubrania z wełny gubią Indjan, siejąc gruźlicę. Cywilizacja wie o tem, lecz jest pozornie bezradna: w Manchester nie fabrykują przecież ubrań ze skóry łosiowej. A więc w Obijuan Indjanie ubierają się w wełnę, chorują na płuca i plują krwią.

Dotyk cywilizacji gorszy jest niż dotyk rubasznych palców. Jest jak ząb żmii. Chleb,

Dokończenie na str. 7-mej



Arkady Fiedler z młodemi Irokezkami w puszczy kanadyjskiej.

Poniżej: Piękny okaz kanadyjskiego łosia.



Na prawo: Jezioro Ametystowe w Parku Narodowym w Kanadzie.



ZNACZEK CZY STEMPEL?



Maszyna do stemplowania listów, zastępująca coraz bardziej znaczek pocztowy.



Strona albumu p. van Wereld, obejmującego zamiast znaczków stemple pocztowe.

Już od stu lat bezmała poczta przewozi listy, za które opłata została uiszczona wyłącznie w formie malutkiego skrawka papieru — tj. znaczka pocztowego. A jednak kto wie, czy sposób ten będący swego czasu rewelacją, i uznany w każdym razie za jeden z najciekawszych wynalazków ub. stulecia, przeżyje nawet nasze pokolenie? Bo oto już od kilku lat coraz więcej otrzymujemy listów, na których nie widzimy tego znaku pocztowego, z którym zżyliśmy się od dzieciństwa.

Sir Rowland Hill, wprowadzając po raz pierwszy znaczki pocztowe w Anglji, nie przypuszczał, że wywoła temsamem jedną z namiętności, która ogarnęła świat cały, a której na imię: filatelistyka.

Dziesiątki i setki tysięcy osób, oddanych tej namiętności poświęcało czas i wielkie kapitały, aby tylko zebrać najcenniejsze okazy i starannie je ułożyć. Gdyby dziś ogłoszono, że żaden znaczek więcej nie zostanie już wydany, wartość istniejących wzrosłaby niepomiernie i nikt nie mógłby dorównać tym, którzy już zawczasu „wyłapali" najcenniejsze białe kruki.

Jeden z najpoważniejszych holenderskich zbieraczy nazwiskiem van Wereld, przewiduje, że wkrótce nastąpi przewrót w filatelistyce i ludzie, u których kolekcjonerstwo jest jakimś podświadomym „nakazem", zwrócą swą pasję w innym kierunku.

Co może zastąpić znaczek pocztowy? Chyba trudno znaleźć inny sposób na opłacanie korespondencji w obecnych czasach, kiedy coraz więcej listów zmierza w kierunku swego przeznaczenia tak drogą morską, lądową jak i powietrzną! Ale wtedy, gdy niema wprost czasu na kasowanie znaczków, trzeba uciec się do pomocy maszynyn, która równocześnie zastępuje znaczek i stempel.

Gdy pan van Wereld ośmielił się publicznie, to jest na „giełdzie znaczków" w Amsterdamie, wypowiedzieć zdanie, że filatelistyka już wnet ustąpi miejsca zbieraniu znaków maszynowych, zakrzyczano go poprostu i nazwano fałszywym prorokiem. A jednak właśnie dlatego, że on pierwszy wpadł na pomysł kolekcjonowania tych odrzucanych pogardliwie wycinków kopert i znaczków maszynowych, posiada już omal kompletny ich zbiór. Van Wereld znalazł zresztą już wielu naśladowców i pisma filatelistyczne widziały się zmuszone wprowadzić dla tych „odstępców" specjalną rubrykę.

„Nie ulega żadnej wątpliwości — oświadcza pan van Wereld, że znaczek stemplowany wcale nie ustępuje znaczkowi zwyczajnemu. Odzwierciedla to dosadnie naszą tak zmechanizowaną epokę i jest bardzo ciekawym objawem coraz to szybciej kroczącego postępu techniki i kultury".

Dla kogoś, kto widział tak podobne do siebie zbiory znaczków pocztowych, wizyta u największego kolekcjonera znaczków maszynowych jest doprawdy „objawieniem". Niktby się nie spodziewał, że i tu występują tak ciekawe odmiany kolorów, wartości, formatów, a nawet stempli. Już we wszystkich częściach świata wyparte zostały znaczki tam, gdzie tempo życia nie pozwala na stratę chociażby sekundy czasu.

„Jeszcze wiele brakuje, abym mógł powiedzieć, że mój zbiór jest doskonały — powiada van Wereld — do gości, którzy go odwiedzają. — Ale trudno, również zbiory znaczków nie były w swych początkach idealnie prowadzone. Tak jednak jak w ub. wieku były one dostosowane do swojej epoki, tak i ja wykorzystałem wszystkie sposoby, któremi obecnie mogłem się posłużyć. Swego czasu pocztyljon przewoził listy — dzisiaj w ułamku sekundy dowiadujemy się zapomocą radja o tem, co dzieje się na drugiej półkuli. Za przewiezienie listu do sąsiedniego miasta płaciło się tyle co obecnie za kablogram, i może za kilkadziesiąt lat mój zbiór będzie fragmentem nieznanych już potomnym stosunków życiowych z lat 1930 — 1940. Czy znany jest szczegół, że swego czasu opłatę pocztową płacił tylko odbiorca listu, a pocztyljon nalepiał kwit w górnym rogu koperty?".

Z kwitu tego powstały znaczki pocztowe, które także nie zawsze miały ten wygląd jak obecne: najpierw były one tylko czarne, nieząbkowane i bez kleju, później drukowano je we wszystkich kolorach, dopiero w r. 1869 wprowadzono dwubarwny druk, co było znacznie trudniejsze aniżeli już od r. 1841 stosowane przekłuwanie znaczków, wzgl. ząbkowanie (1845). Z chwilą kiedy znaczki przestały być tylko mikroskopijnemi wizerunkami panujących i herbów państw, a wygląd ich urozmaicono rysunkami krajobrazów, scen historycznych, sławnych postaci, czy też egzotycznemi zwierzętami i roślinami itd. wówczas wiele osób równocześnie zaczęło je przechowywać jako godne uwagi obrazki. Tak rozwinęła się powoli namiętność, której nie oparli się nawet królowie i ogarnęła ona wszystkie bez wyjątku warstwy społeczne. Bogaty czy ubogi, starzec czy też nieletnie dziecko, mężczyźni i kobiety, każdy ktokolwiek wpadł w „sidła" tej pasji, ulega jej przez długie lata. Gdy w końcu władze i ministerstwa poczt zorjentowały się, że może to być dla nich źródłem wielkiego zarobku rozpoczęto wydawać znaczki właściwie tylko dla filatelistów. Zwłaszcza w latach 1925 — 1935 ukazały się tysiące najpiękniejszych egzemplarzy, które wprost z okienka pocztowego powędrowały do albumów zbieraczy, a niektórym rządom przyniosły grube miljony.

Ale teraz, kiedy wkońcu poważniejsi zbieracze doszli do przekonania, że wykorzystano ich namiętność zbierania marek, wydając egzemplarze niekonieczne ze względu na technikę pocztową, musi ten zapał bardzo ochłódnąć.

Niewątpliwie p. van Wereld wychodzi z zupełnie słusznego punktu widzenia i naprawdę przy coraz większym rozwoju radiotelegrafji dojdzie kiedyś do tego, że nie będzie się już pisywać listów. My jednak tego nie dożyjemy i chwilowo żaden z zbieraczy nie potrzebuje się obawiać aby jego skarby cenione na wagę złota stały się znowu tylko nic nieznaczącemi skrawkami papieru. Inna rzecz grozi natomiast filatelistyce: oto wzmagające się z roku na rok tempo życia, do którego musimy się nolens volens zastosować zniechęci może przyszłe pokolenie do ślęczenia nad kartkami albumów i segregowania znaczków różniących się tylko minimalnie. Z drugiej zaś strony wszystkie większe przedsiębiorstwa, prasa i urzędy, które wysyłają dziennie tysiące listów i gazet oddawna zarzuciły używanie znaczków. Maszyna załatwia ofrankowanie każdej przesyłki szybko, sprawnie i taniej, to też nie sposób się bez niej obejść. Trudno powiedzieć, czy jest ona wstanie wyrugować znaczek z prywatnego użytku, a najbardziej będą się temu opierać filateliści i państwa którym ci ostatni przysparzają wciąż znaczne dochody. Niewątpliwie będzie coraz więcej zbieraczy znaczków maszynowych idących śladami van Werelda, ale objektywnie biorąc, ta nowa pasja kolekcjonerska nigdy nie będzie wstanie wyrugować filatelistyki w dotychczasowem pojęciu.

* * *

W pierwszych dniach marca ukazały się nowe znaczki niemieckie mające symbolizować obronę przeciwlotniczą. Serja obejmuje trzy sztuki za 3, 6 i 12 fen., w barwach normalnych. Wykonane są stalorytem, ale naogół nie robią sympatycznego wrażenia. (Ze zbioru p. St. Bałowskiego, Katowice).

W następnym numerze omówimy serję wydaną ku czci Puszkina i nowe oryginalne znaczki czeskie.

S. S. St./W. H.



Najnowszy znaczek Rzeszy niemieckiej, wydany w celach propagandy obrony przeciwlotniczej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. K. SZYMAŃSKI — WŁOCŁAWEK: Adres Klubu Filatelistycznego w Toruniu: Prezes p. Niklewski, ul. Szczytna 9. Ma Pan zupełną rację, że kompletna lista nowości przyniosłaby wiele korzyści czytelnikom. „As" i „Światowid" okładki roczników wydają po cenie zł. 3.20 wzgl. 3.60. Zamawiać należy w dziale agencyj zamiejscowych.

WP. MGR. BAŁOWSKI — KATOWICE. Uprzejmie dziękujemy.

PRYW. DOKSZTAŁCAJĄCE KURSY

„WIEDZA"

KRAKÓW, UL. PIERACKIEGO 14 63

przygotowują na lekcjach zbiorowych, oraz w drodze **korespondencji**, za pomocą skryptów, programów i miesięcznych tematów, do egzaminu dojrzałości, jakoteż do egz. z 6-ciu kl. starego typu, ewent. z 4-ch kl. gimn. nowego ustroju i do egzaminu z 7-miu kl. szkoły powsz. Wykładają najwybitniejsze siły fachowe szkół średnich krakowskich

Truskawiec-Zdrój

Tani sezon wiosenny od 1 kwietnia.

Naturalne kąpiele solankowe, siarczane, borowinowe. — Na czele wód pitnych słynna „Naftusia“ — nowoodkryty zdrój wód gorzkich „Barbara“.

Dokończenie ze strony 5-tej.

którego dostarcza cywilizacja, działa czasem jak trucizna"...

Fiedler jest sprawiedliwy. O pozytywnej, twórczej pracy białego człowieka-zdobywcy mówi objektywnie, rzeczowo, a nawet z uznaniem, gdy się ono należy. Nie Fiedlera jednak wina, gdy często w jego zadumę wdziera się gorzka ironja:

„Biały człowiek jest wdzięczny. Po doszczętnem prawie wytępieniu bobrów uznał je za świętość narodową. Przyznał im doniosłe znaczenie cywilizacyjne, jako że myśliwi, w pogoni za bobrami, przebiegali kraj i odkrywali odludne puszcze. Dlatego bobry znajdujemy na kanadyjskich emblematach państwowych taksamo, jak na monetach Stanów Zjednoczonych widnieją Indjanie i wytępione na prerjach bizony"...

Z CHATY KANADYJSKIEJ POLSKIEGO TRAPERA, Bronisława Płóciennieczaka, pochodzącego zpod Środy, w Wielkopolsce, a teraz samotnie „między puszczą a Bogiem" mieszkającego na polanie nad Rzeką St. Denis — ruszył Fiedler, wraz z Bronisławem, sześćset mil koleją na północ, a potem w kanu falami rzeki Oskelanoe, wciąż dalej i dalej, z rzeki na rzekę, z jeziora na jezioro, ścieżkami w głąb puszczy, pachnącej żywicą, w głąb kraju, nie przypominającego niczem osiedli ludzkich, pachnących benzyną. Zginął im z oczu ostatni ślad cywilizacji, nie było na ich drodze żadnej wsi białych, byli zato Indjanie, nieliczni górnicy, czasem trafić się mogą myśliwi lub awanturnicy.

Indjan widział już Fiedler nad Rzeką św. Wawrzyńca, na przedmieściu Montrealu, gdzie jest rezerwat najpotężniejszego szczepu indjańskiego Irokezów, którzy ongiś mieszkali na południe od jeziora Ontario, lecz ich krzyk wojenny rozlegał się od Missisippi aż do brzegu Atlantyku. Usiłował ich kraj skolonizować najśmielszy i najtragiczniejszy wędrowiec leśny, Francuz, Robert Cavelier Sieur de la Salle, mający poparcie króla Ludwika XIV, który dn. 4 kwietnia 1682 zaanektował dla Francji całą Missisippi wraz z jej dopływami, ziemią i ludźmi, ale poniósł śmierć z rąk zdradzieckich współtowarzyszy. Koloniści francuscy, żyjący w zgodzie z niektóremi szczepami Indjan, ściągnęli na siebie krwawą nienawiść zaborczych Irokezów, którzy rozstrzygnęli historję Ameryki na korzyść Anglji, im dyplomatycznie sprzyjającej.

Rezerwat Irokezów pod Montrealem jest atrakcją turystyczną. Tu wśród kilkuset domków czyhają na turystów kioski z tandetnemi pamiątkami indjańskiemi, słodką wodą Canada-drink i fotografjami rzekomo groźnych Indjan w fantastycznych strojach, w których pozują przed objektywami w dni świąteczne za kilka centów. Od stu lat konają resztki Irokezów, ale w interesie miasta Montrealu powinni istnieć jak najdłużej. To ich dzisiejszy jedyny obowiązek. Za to dostają co tydzień zapasy żywności, a co miesiąc na rodzinę cztery dolary. Żyje ich obecnie dwa i pół tysiąca nieboraków, ale co rok mniej.

Nad jeziorem Obijuan, wśród puszcz północnej Kanady, koczują Indjanie-myśliwi, polujący na łosie, ludzie dorodni, pogodni i uczciwi, odłam potężnego szczepu Cree, któremu nigdy nie śniły się podboje. Mieszka ich w Obijuan 60 rodzin. Biali wybudowali im szkółkę, gdzie jest i radjo, a nauczycielka, Francuzka, uczy dzieci o historji i wiedzy białych, ale po ukończeniu szkoły dzieci bynajmniej nie pragną emigrować do ich miast. W Obijuan jest i kościółek, bo Cree przyjęli chrześcijaństwo. Zawsze odznaczali się miłością bliźniego, wierzyli w jednego boga: wielkiego ducha Manitu.

Indjanie Cree odznaczają się szczególnemi umiejętnościami myśliwskiemi, potrafią odgadnąć każdą tajemnicę przyrody, śledzić tropy zwierzyny, szukać ukrytych w ziemi minerałów. Z białymi żyją w przyjaźni. W pięknych domkach mają maszyny do szycia i tarki do prania. Za dnia, zwyczajem ludzi białych, przebywają w domkach, ale w nocy śpią pod rozpiętym obok namiotem, śpią na ziemi, zwyczajem praojców...

Stan. Witold Balicki.

Święto wiosny...





Na starość — normalna tusza...

Przy otyłości i złej przemianie materji stosuje się Zioła Magistra Wolskiego ze znakiem ochr.

„DEGROSA“

gdyż zawierają one jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga. Pobudza on organizm do spalania nadmiernego tłuszczu, działając dodatnio na funkcje gruczołu tarczycowego. Stosowanie ziół „Degrosa“ nie wymaga specjalnej djety. Jako środki pochodzenia naturalnego, działają Zioła magistra Wolskiego łagodnie, nie mają przykrego smaku i są łatwe do przyrządzenia.

Zioła Magistra WOLSKIEGO

WYTWÓRNIA: MAGISTER WOLSKI WARSZAWA ZŁOTA 14

SŁAWA AMERYKI







Harriet Hoctor uchodzi od lat za najlepszą bezsprzecznie tancerkę Ameryki. Każda jej kreacja, zarówno z repertuaru klasycznego jak i nowoczesnego, stanowi niedościgniony wzór dla całej plejady artystek amerykańskich, z których większość występuje w filmie, uwzględniającym przedewszystkiem step i tańce akrobatyczne. Może właśnie z tego powodu Harriet Hoctor, reprezentantka czystego artyzmu w sztuce tanecznej, stroniła przez lata całe od filmu, odnosząc olbrzymie sukcesy na estradach sal koncertowych i scenach wielkich teatrów. Obecnie i ta wielka gwiazda światowej choreografji zabłyśnie na firmamencie filmowym, zwabiona tam prawdopodobnie kontraktem, gwarantującym jej fantastyczne... iście amerykańskie honorarja. Fakt ten ma doniosłe znaczenie choćby z tego powodu, że obraz z udziałem Harriet Hoctor będzie niewątpliwie stanowił doskonałą lekcję poglądową dla adeptek tańca na całym świecie. Na zdjęciach, które powyżej reprodukujemy, widzimy Harriet Hoctor w trzech pozach tańca klasycznego, podczas próby do pierwszego jej filmu.

Fot. Keystone — New York.



GWIAZDY nad Sosnowicą

Hanna Kłosińska — *Nowela* — *Ilustr. T. Korotkiewicz*

Nad starym dworem — jasne niebo. Gwiazdy wyroiły się jak pszczoły. W parku było cicho. Drzewa nie miały jeszcze liści. Czekały na wiosnę. Dwoje młodych biegło szybko po żwirowanych ścieżkach. Żwir skrzypiał pod ich stopami, jakby śpiewał. Młodzi, biegnąc, rzucali srebrny cień na czarne wody stawu. Odbijali się, jak w czarnej polerowanej tafli, tacy jaśni i przezroczyści, jakby zbiegli z księżyca. W każdym razie czynili wrażenie zbiegów. Uciekali niewiadomo przed czem? Księżycem, wiosną, czy własnym sercem? Na żwirze zostawał ślad ich stóp. Na starych ścieżkach parku w Sosnowicy zostawał ślad. Księżyc go rzeźbił wprawną dłonią.

Mężczyzna prezentował się gracko, wcięty w talji, jak panna, miał słodkie oczy dziewczyny i dzikie usta żołdaka. Kobieta świeciła zdaleka złotemi warkoczami i białą suknią.

Przystanęli wśród nagich wiązów.

— Zdaje mi się — powiedziała ona — że gwiazdy patrzą na nas z pod złotych rzęs i płaczą. Prosto na nos kapią mi ich złote łzy. Czuję je na ustach. Smakują, jak miód.

— Więc scałuję te gwiaździste łzy z twoich ust.

— Ach, poeto! To był tylko taki poetyczny żart. Cóż mnie obchodzą gwiazdy, słońce i ziemia wobec tego, że cię kocham. Że jesteś ze mną. Gwiazdy świecą tylko poto, bym ciebie lepiej mogła widzieć. Nie mogę uwierzyć w to, że już nigdy nie odejdziesz, że na zawsze zostaniesz ze mną. Obawiałam się, że poeci kochają tylko w wierszach. Że zdobywają kobiety tylko wierszami, a mnie trzeba było mężczyzny, któryby mnie zdobył ramonami, sercem, oczyma.

Tak zdobywał przed laty ktoś inny inną kobietę w tym samym parku...

Miał srebrne kolce u butów, kurtkę granatową z ponsowemi wyłogami, dwa rzędy złotych guzików błyszczących, jak tamte gwiazdy. Ach, doprawdy, był olśniewający! Ten kadet rycerskiej szkoły Jego Królewskiej Mości, który pod złotemi guzikami sztubaka nosił już nieśmiertelność. Pomimo perkatego nosa był uroczym, pełnym gracji chłopcem. Miał lat dwadzieścia trzy i nazwisko, które stało się wielkiem.

Przy tej samej altance, w taki sam wieczór Wielkiej Nocy stali koło siebie, jak my dzisiaj, wsłuchani w płacz gwiazd.

— A o na była do ciebie podobna. Miała dwadzieścia trzy lata, setkę antenatów, jasne włosy, zwinięte w misterne pukle, buzię raczej do młodziutkiego książątka w peruce, niż do panienki podobną, zato kobiecych czarów pełne oczy, kibić smukłą, suknię z bufkami i koronkową mantylę.

Niewiadomo, co było, jak było, co się w kwietniu zdarzyło. Ale stary staw i księżyc zachowali ich młode cienie, jak w srebrno-czarnej trumnie. I możesz je widzieć o każdej pełni miesiąca.

Tak i słychać wyraźnie szelest ich kroków.

— Złudzenie, kochana.

— Nawet miłość jest złudzeniem, a przecież płaci się za nią całem życiem. Tak poeto. Kwadrans złudzenia! Ileż on dla człowieka znaczy! Przypuszczam, że Bóg myśli tak samo. Za mało troszczy się o swoje złote gwiazdy. O swoją gwardję z róż, o ptaki. Pozwala ptakom i gwiazdom na rój i lot, nie współczując im, gdy się potrącą w biegu i spadają na ziemię, jak motyle z połamanemi skrzydłami.

— A czemże się łudzi nasz lekkomyślny Bóg.

— Tem samem, czem człowiek — miłością. Świat oddałby za miłość. Całą wieczność szuka miłości.

— A ty?

— Pochyliła jasną głowę.

— Ja już nie szukam. Znalazłam ją w tobie.

— A tamta, której cień chodzi po sosnowickim parku?

— Tamta zgubiła miłość. I tu jej szuka. Wróciła do domu ojca, jako staruszka. Chce umrzeć w Sosnowicy. Nie wiem, dlaczego zabrała mnie ze sobą. Ona mnie kocha i dlatego może — wybaczy. Nie wie, że ty jesteś także w Sosnowicy. Nie wie, że istniejesz. I tylko tu mogę jej o tobie powiedzieć. Jutro przyprowadzę ją do tej altanki, pamiętnej miłością i powiem jej wszystko. Nawet nie zauważy, że porzucam jej syna, że kocham innego, ciebie, Antoine. Będzie myślała o nim, tylko o nim. O swoim romantycznym kadecie w granatowej kurtce z ponsowemi wyłogami. O generale z perkatym nosem. Gdyby bohaterzy mogli mieć jeszcze nosy na swoją miarę! Świat leżałby u ich nóg!



Młodzi biegnąc, rzucali srebrny cień na czarne wody stawu.

— O ile wiem, świat leżał u jego nóg. Szedł sobie pan generał przez życie gościńcem wybrukowanym kobiecemi sercami. Kochały go różne. Mądre, piękne, bogate. Śliczna księżna d'Abrantès znalazła go pełnym wdzięku i gracji, dama amerykańska ofiarowała mu serce i dukaty. Kochała się w nim czule zakonnica polska — w Szwajcarji i urocza Krysia Radziwiłłówna — w kraju. Proponowano mu za żonę księżnę Marję Wirtemberską. Daremnie o nim marzyła księżna kanclerzyna Konstancja Zamoyska. A historja z małą Teklusią? Czyż nie romantyczna? Siedemnastoletnia pannica, zakochana na zabój, na śmierć w dobiegającym pięćdziesiątki generale. Miał szczęście do niewiast Pan Tadeusz, cóż, kiedy żadna z nich nie była tą, którą za „miłą żonkę" pojąć pragnął.

— Ta została w Sosnowicy. Stoi koło nas w swojej białej sukni z buffami. Jasne włosy zwijają się nad szyją, jak strączki cukrowego grochu. Jasnemi, jak niebo oczyma patrzy na nas. Jest tak, jakby kwiaty już kwitły. Jakby już był czas zapachów i szumów. To miłość zprzed lat pięćdziesięciu przechodzi koło nas. Może w pobliżu czesze akacja swoje białe loki? Bzy ścięte w liljowe sople roztapiają się w cieple na nektar? Nie. Jest chłodny wieczór wczesnej Wielkanocy i nieśmiało tylko pachną fiołki. A mimo to jest już wiosna. Mam mokrą twarz, nie wiem, czy od bzów, rosy, czy łez? Przez miłość cierpi się mimowoli. Płacze się, nie wiedząc o łzach.

— Ten klon jest bardzo stary, ale miał jeszcze liście, kiedy pan Tadeusz pannę Ludkę pod nim rysować uczył. Na korze klonu jest jeszcze ślad tych nauk — serce, przebite strzałą. Nie śmiej się. Chwila była dramatyczna. „Pan wojewoda zdyszany, wbiegł do ogrodowej altany" i... dalej sam sobie dośpiewaj poeto. Znasz temat lepiej ode mnie. Niestety nie było pod ręką kozaka, którvby miast panny, zabił wojewodę.

— Podobno nawet awanturniczy kadet chciał pannę porywać!

Dano ją potem za żonę Józefowi Lubomirskiemu — targowiczaninowi. I jakże mogła być z nim szczęśliwa ta, która kochała Kościuszkę?

— Kiedym przed laty poślubiła jej syna, spytała mnie, czy go kocham.

— Nie wiem. Nigdy dotąd nie kochałam.

— O miłości wie się zawsze. Wierzę jednak, że czas was zbliży. Obyś tylko nie spotkała prawdziwej miłości.

— Każda miłość jest prawdziwa, dotąd, póki trwa — odpowiedziałem lekkomyślnie.

— Znać moja mała, że cię wychowano w płochej, francuskiej szkole. Jednak nawet francuskie wychowanie nie ocali kobiety przed miłością. Będziesz jeszcze kochać dziecko i wtedy przyjdź do mnie. Pomogę ci.

— Czy to prawda, że Kościuszko chciał porywać panią? — spytałam nieśmiało.

— Ach, moje dziecko, całe życie żałuję, że nie zostałam porwana.

— Teraz, kiedy zamierzam porzucić jej syna — ona jedna może mi pomóc. Chociaż w ostatnich czasach bardzo zdziecinniała i każdy prezentowany jej młodzieniec, wyda-

je jej się Tadeuszem Kościuszką. Obawiam się, czy mnie zrozumie. Jednak przeciw sercu — nic nie zdziała — jedna obłąkana kobieta. Pójdę z tobą Antoine. A teraz pora nam wracać. Chłodno.

Szli szybko zpowrotem ku domowi. Był to staroświecki dom z gankiem kolumnowym i rzeźbionym frontem. Okna oprawione były jak klejnoty w renesansowe rzeźby. A róże rosły tak blisko domu, że prawie wchodziły na schody.

Wiosna, jak płomień czaiła się w ziemi i pod korą drzew, by znagła, niespodzianie wybuchnąć i zielonym pożarem objąć świat. Wiatr trzymał już zapalony zielony lont...

Młodym też spieszno było do wiosny. Poddawali się mocnym czarom.

Pani szepnęła: — Czuję, że coś się dzieje tej nocy. Parsifal schodzi z Montsalwatu i klęka u świętego grobu. Parsifal — najczystszy z ludzi, który przeszedł nietknięty przez ogrody najpiękniejszych kobiet. Podobno w noc taką, jak ta, widują go ludzie prości i czystego serca. My go nie zobaczymy. Mamy zuchwałe serca. Nosimy w sobie bunt. Nagie drzewa pokrywa rosa,, to łzy nawróconych grzeszników. Tak mówi legenda.

— Dziwna noc — kochany. Grzech i świętość stanowią jedno. Grzeszę, a mimo to czuję się czystą. Miłość ma siłę oczyszczającą, jak woda ze świętej sadzawki, w której kąpano trędowatych. Po twoich pocałunkach prostuję się i wyżej podnoszę głowę.

— I tak nosisz ją za wysoko. Jesteś urodzoną księżniczką. Gdybyś żyła za czasów rewolucji francuskiej, zginęłabyś pewnie na szafocie, jak inna Lubomirska, jak Róża. „La princesse printanière". Potrzebnie goniła pana Mostowskiego po świecie w takim gorącym czasie. Przypłaciła tę gonitwę życiem.

— Miłość nie zna czasu, a Lubomirskie nie znały go nigdy. Pozornie płoche i lekkomyślne, kochają jednak aż do śmierci i ponad śmierć.



Wchodzili na schody, a krzaki róż wchodziły razem z nimi.

— Ten dom, Antoine, należy nietylko do ludzi, należy też do kwiatów. Te róże mają złote kwiaty. Przywiózł je Ludce pan Kościuszko z pierwszego wojażu do Francji. Róże królowej, Marie Antoinette.

— Napiszesz o nich wiersze, dobrze? Wiersze dla mnie.

— Smutne to będą pieśni miłosne. Szafot. Śmierć. Zadużo śmierci w tym ogrodzie.

— Na jakiż szafot mogłaby mnie zaprowadzić miłość? Chyba musiałby Pan Bóg ułożyć gilotynę z gwiazd, by mnie zabić. Zwykła ludzka śmierć nie może mnie zabić, póki kocham ciebie.

— Ty wierzysz w Boga?

— Wszyscy, którzy kochają — wierzą. Dla ludzi jednak, którzy chcą popełnić to, co my, lepiej byłoby, gdyby Bóg nie istniał. Gdyby Go nie było.

Z oświetlonego okna w górze padało ukośne światło, cedząc się przez zmierzch, jak śmietanka. Od zabudowań gospodarskich płynął smakowity zapach sera, ciasta, rodzynków, muszkatołowego kwiatu i surowa woń barwinku.

Młoda pani uśmiechnęła się do jakiegoś wspomnienia z przed lat

— Pamiętam, matka w ten dzień piekła mazurki.

Zamilkła. Trochę posmutniała. Coś minęło zapewne bezpowrotnie razem z „mazurkami". Szczęście rozpłynęło się łatwo, jak lukier na pierniczkach.

Ujął ją za rękę.

— Nie dam ci nic prócz wierszy i biedy. Zastanów się. Nie będziesz już miała matki, jeśli pójdziesz za mną. Nie będziesz miała domu. A kobiecie potrzebny jest dom. Porzucisz męża, przyjaciół. Przestaniesz się nazywać Lubomirską.

— Przestałam nią być już wtedy, kiedy ujrzałam ciebie po raz pierwszy. Wcześniej jeszcze, kiedy czytałam twoje wiersze. Nie chcę podzielić losu Marji z twojego poematu. Nie chcę podzielić losu Ludki Sosnowskiej, której młody duch straszy w tym parku.

W oświetlonym pokoju ktoś grał na szpinecie. Melodja była prosta, kołysząca. Oddawała rzeczy codzienne z zachwycającym wdziękiem. Rokokowy zegar wydzwonił jakąś godzinę na srebrnych cyfrach. Otwarły się drzwi czeczotkowej serwantki i na czubkach paluszków, wprost na klawiaturę szpinetu wybiegła dziewczyna w krynolinie. — Tańczyła na klawiaturze szpinetu, wirowała, wirowała, aż do utraty tchu, jak błękitny bąk po schodach z kości słoniowej. Ramiona jej drżały, jak skrzydła motyla.

Splątała się melodja. Niewidzialna ręka zerwała z szyi dziewczyny sznur pereł. — To potoczyło się ze szklannym lamentem scherzo.

Ta sama ręka porwała dziewczynę motyla i złożyła ją w aksamitnym pudrze, srebrną szpilką przybijając ją do aksamitu. Przebito jej serce.

Ale ona żyła jeszcze. Krzyczała z bólu i muzyka pełna była tego wstrząsającego krzyku. Zatrzasnęły się drzwi szklanej serwantki.

— Słyszałeś, Antoine? To ona płakała.

— Kochanie, łatwo podlegasz nastrojom. Przed chwilą gwiazdy płakały, teraz znów szpinet płacze.

— Nie mogę już dłużej kłamać. Jutro wyjedziemy.

— A kiedy jej powiemy?

— Zaraz.

Weszli do pokoju. Abażur z różowej włóczki rzucał jasny cień na zgarbioną postać staruszki. Siedziała jeszcze przy szpinecie, wsłuchana w pieśń, której już nie było. Na wieku porcelanowe damy i kawalerowie tańczyli gawota. Dziewczyny w krynolinie już między nimi nie było.

— Mamo — powiedziała młoda pani, całując staruszkę w czoło — mamo, przedstawiam ci Antoniego Malczewskiego. Kocham go.

Staruszka popatrzyła przez łzy na poetę. Nie widziała jednak młodego pana w szarym fraku i kamizelce w różowe kwiaty, przed jej oczyma stał kadet w granatowej kurcie z ponsowemi wyłogami. Kadet Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta.

Wyciągnęła do niego ręce.

— Cieszę się, że przyjechałeś, Tadeuszu. Spakowałam już wszystko. Zaraz będę gotowa. Powóz czeka. Kazałam zaprząc kasztany te same, któremi wtedy.... Tak, tak, Tadeuszu, żyje jeszcze Pasza i Sułtanka, które nas wówczas wiozły. Widzisz — spodziewałam się ciebie. Spakowałam walizy. Jeszcze tylko koronki i klejnoty, ale to długo nie potrwa Tadeuszu.

Zerwała się od szpinetu. Wyciągnęła z komody jakieś zmięte gałgany koronkowe, świecidełka i korale. Zaczęła to wszystko przekładać, składać, pakować.

— Pamiętasz te korale, Tadeuszu. Pocałunkami chciałeś im życie przywrócić. Ale one umarły. Ożyją dopiero wtedy, gdy je ubierze szczęśliwa kobieta.

— Mamo — powiedziała młoda pani, mocno patrząc w jej obłąkane oczy. — To nie jest pan Kościuszko, to jest Antoni Malczewski. Autor „Marji". Głośny poeta. Ty zostaniesz mamo, to ja wyjeżdżam!

Nie zrozumiała jej. Żadne już słowa nie mogły dojść do jej świadomości. Kadet ponsowo-granatowy skłonił się jej w milczeniu i podał jej ramię. Szła z nim daleko, daleko, skąd się już nigdy nie wraca.

Nikt z pośród tych trojga nie wiedział, że Tadeusz Kościuszko leżał ciężko chory w Szwajcarji w Solurze i w gorączce wymawiał to jedno słodkie imię, jakie zapamiętał z całego życia:

— Ludko!

Młoda panna Lubomirska i pan Malczewski rozpoczynali podróż pod jasną wróżbą gwiazd.

Od starego dworu w Sosnowicy gnał ich precz spuszczony ze smyczy wiosenny wiatr i melodja menueta, który stara pani znów grała ku pamięci dni minionych.

— Ona jeszcze żałuje — szepnęła młoda pani, otulając się w futra, bo wczesna noc wiosenna straszyła przymrozkiem.

Za nic nie byłaby się przyznała, że i ona, uciekająca z ukochanym nad wszystko człowiekiem, żałowała już swego kroku. Że w sercu jej nienasyconem i smutnem wstawało już zwątpienie i ból, jak w sercu tamtej.

Malczewski pierwszy przerwał milczenie.

— Tyle wieków temu, jak On powiedział na krzyżu: „Pragnę", a każdy człowiek słyszy to słowo w sercu swojem i nigdzie nie znajduje spokoju!

Panna Lubomirska podniosła oczy ku gwiazdom. Na wysokim stropie gwiazdy ułożyły się w kształt gilotyny. Powoli wstępowała po stopniach. Wiedziała już teraz, jaką śmiercią zginie. Dziękowała Bogu, że nie była w miłości samotna, że na ten szafot Boży wstępują oboje.

Tak zaczęło się ich życie...

CO? TO ★ JEST ★ ?

Na zamieszczonych obok zdjęciach widzimy różne przedmioty, których kształty -- po największej części bardzo dziwaczne — nie przypominają nam na pierwszy rzut oka rzeczy, niejednokrotnie przez nas oglądanych. Pragnąc ułatwić rozwiązanie tego zadania, podajemy, że niektóre z przedmiotów sfotografowano w znacznem powiększeniu, niektóre zaś utrwalono na płycie fotograficznej w rozmiarach naturalnych. **Nagrody, wyznaczone przez Redakcję Magazynu „As" w postaci powieści poczytnych autorów, otrzymają Czytelnicy, którzy do dnia 12 kwietnia br. nadeślą nam dokładny opis wszystkich siedmiu fotografij. W braku takich rozwiązań nagrody zostaną przyznane zgłoszeniom, zawierającym opis przynajmniej pięciu fotografij.**

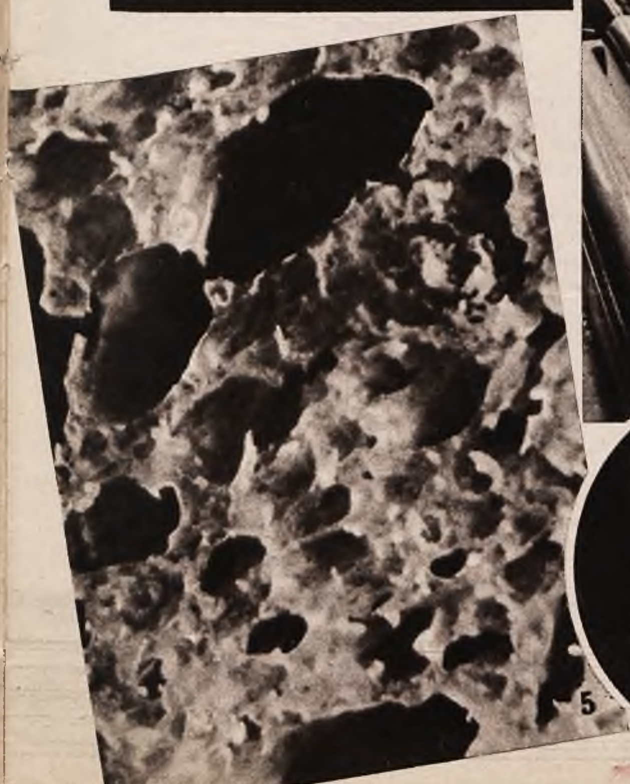

1


7


2

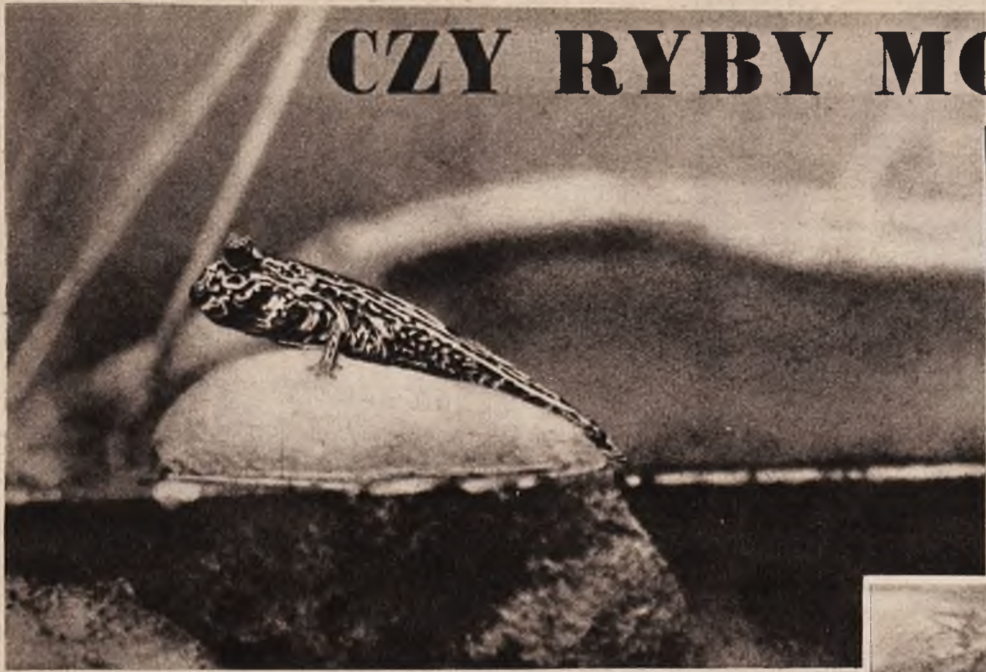

3


6


5


4

CZY RYBY MOGĄ ŻYĆ BEZ WODY?



Powyżej: Żyjąca w Liberji ryba „Bommi", na kamieniu nad wodą.

Jak człowiek bez powietrza, tak ryba nie może żyć bez wody, całe bowiem jej ciało przystosowane jest do przebywania wyłącznie w wodzie. Z niej też czerpią ryby tlen, potrzebny im do oddychania. U innych kręgowców narząd oddechowy stanowią płuca, ryby zaś oddychają skrzelami, które umieszczone pod pokrywami skrzelowemi, mieszczą się po obu stronach głowy. Nie mogą one pobierać bezpośrednio tlenu z powietrza; nic więc dziwnego, że po wyjęciu z wody wkrótce giną.

Każda jednak niemal reguła zawiera wyjątki. Toteż i wśród wielkiej gromady ryb znajdują się takie, które mogą żyć poza środowiskiem wodnem; mogą je nawet na dłuższy czas opuszczać, a mimo to nie giną. Co więcej, zdarzają się i takie, które udusiłyby się w wodzie, gdyby nie wychylały się nad jej powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza.

Te właściwości niektórych ryb idą w parze z odpowiednią budową fizyczną.

Nasz pospolity węgorz, kształtem swym przypominający węża, nieraz pod osłoną nocy wędruje na wilgotne łąki, poszukując pokarmu lub też zdążając do lepszego miejsca pobytu. Nie może on wprawdzie oddychać powietrzem, ale przebywanie poza wodą ułatwiają mu zamykające się szczelnie otworki skrzelowe, nie pozwalające na wyschnięcie skrzel.

Inna ruchliwa ryba naszych wód, piskorz, posiada jeszcze dalej idące przystosowanie do życia poza wodą, może bowiem zarówno korzystać z tlenu rozpuszczonego w wodzie, jak i zawartego w powietrzu atmosferycznem. Ponieważ przeważnie żyje w zbiornikach mulistych, gdzie zachodzące procesy gnilne zanieczyszczają wodę do tego stopnia, że nie nadaje się ona do oddychania, nie zawiera bowiem prawie zupełnie tlenu, właściwość oddychania powietrzem ma dla tej ryby oczywiście pierwszorzędne znaczenie. W wypadkach więc wyjątkowych, gdy panuje brak tlenu w wodzie, piskorz podpływa pod jej powierzchnię i chwyta w otwarty pyszczek powietrze, które po przejściu przez przewód pokarmowy dostaje się do obficie unaczynionych jelit, skąd krew roznosi je po całem ciele. W czystej wodzie natomiast ryba ta oddycha tylko skrzelami.

Poniżej: Rodzina ryb „Bommi" na korzeniach mangrowca.



Może jeszcze ciekawszą pod tym względem jest egzotyczna rybka, mieszkanka wód dalekiego Wschodu, łaziec indyjski (Anabas). Ciało jej, osiągające długość 20 centymetrów, pokryte jest twardemi łuskami. Na grzbiecie znajduje się silna płetwa o ostrych i licznych promieniach. Rybka ta, podpierając się krótkiemi płetwami, znajdującemi się na brzusznej stronie ciała, oraz ogonem, wyłazi na ląd, poruszając się nawet dość szybko. Niekiedy przy łażeniu pomagają jej także zazębione pokrywy skrzelowe. Zdolność przebywania na lądzie zawdzięcza ona specjalnej konstrukcji aparatu oddechowego. Ponad skrzelami posiada t. zw. błędnik czyli labirynt, który składa się z powyginanych tarczy kostnych, pokrytych błoną śluzową, obficie unaczynioną, tak, że narząd ten może chłonąć tlen wprost z powietrza atmosferycznego. — W pewnych wypadkach obecność tego aparatu warunkuje życie tych rybek, żyją one bowiem w mulistych zbiornikach wodnych, gdzie często w wodzie brak świeżego powietrza. Gdyby ryby te musiały oddychać jedynie skrzelami, nieraz byłyby narażone na śmierć; ratuje je wtenczas labirynt. Gdy poziom wody obniża się w zbiornikach, ryby te zagrzebują się nawet więcej, jak na pół metra pod mulistą powierzchnię i tam przebywają niedogodny okres. Woda może zupełnie wyschnąć, powierzchnia ziemi może popękać, a ryby są bezpieczne w swem schronieniu. Nawet w razie, gdyby susza dotarła do ich legowiska, mogą oddychać zastępczym aparatem oddechowym, korzystając z tlenu atmosferycznego.

Jeszcze lepszym „piechurem" jest Periophtalmus Koelieuteri, t. zw. ryba „Bommi", posługując się podobnie, jak łaziec pletwami. O ile poprzednia ryba wyłazi raczej z konieczności, o tyle „Bommi" skacze po bagnistym gruncie w pogoni za owadami, które stanowią jej smaczny pokarm. Gdy na lądzie zagraża jej niebezpieczeństwo, pomyka do wody i posuwa się po jej powierzchni skokami, podobnie jak kamień, który puszcza się nieraz dla zabawy po powierzchni stawu. Jej wypukłe oczy umieszczone wysoko na głowie są bardzo ruchliwe. Doskonale wypatruje nimi zdobycz. Przez dłuższy czas może „Bommi" przebywać na lądzie, a nawet wychodzić na korzenie powietrzne „mangrowców".



Łaziec indyjski — Anabas.



Egzotyczna ryba, „spacerująca" po lądzie z pomocą przednich pletw.

W Indjach żyje ryba zwana wężogłowcem (Ophiocephalus), która również dzięki labiryntowi może oddychać powietrzem atmosferycznem. W tropikalnej Afryce oraz Ameryce i Australji żyją ryby t. zw. dwudyszne, które oddychają nietylko skrzelami, ale także płucami, wytworzonemi z pęcherza pławnego. Znoszą one, zakopując się w mule, doskonale niekorzystną suchą porę, gdy zbiorniki wodne wysychają. W ten sposób ryba pogrążona niejako w śnie letargicznym, obywa się bez wody i pożywienia przez kilka nawet miesięcy, a schronienie ryby ma połączenie z powietrzem atmosferycznem przez wąski kanał.

Pierwotne opowiadania o rybach, łażących po lądzie i wspinających się po drzewach, uważano raczej za baśnie i wytwór bujnej fantazji. Późniejsze dopiero obserwacje potwierdziły prawdziwość tych relacyj.

Z. M.

LUDZIE-MASKI

Ludzie - krety

Jakże odległe to czasy, gdy człowiek — pan wszelkiego stworzenia — krył się po jaskiniach, z których przedtem wyprzeć musiał pierwotnych ich mieszkańców, różne przedpotopowe zwierzęta, legendarne smoki, ptaki-straszydła, ujarzmione nietyle jego siłą, ile sprytem i rozumem. Ta ustawiczna walka zaprawiła pierwotnego mieszkańca globu ziemskiego do twardych warunków ówczesnego życia, pozwalając mu wkońcu na obmyślenie sobie wygodniejszych siedzib, zabezpieczonych przed atakami przyrody, z którą współżycie nie należało do łatwych problemów.

W ten sposób człowiek, dążąc jak każde stworzenie na ziemi do światła i powietrza, wyszedł z ukrycia, porzucił mroczne legowiska w jaskiniach i zbudował pierwsze osady palowe na wodzie. Przeglądając dziś projekty różnych architektów, którzy zmierzają do stworzenia budowli, najidealniej przystosowanych do konieczności obrony przeciwgazowej, nie bez zdumienia zauważymy wielkie podobieństwo konstrukcyjne, zachodzące między temi projektami, a schematem pierwszych na świecie domów. I tu i tam zasadniczą cechą techniki budowlanej są pale, jako podstawy domostw. Umożliwiały one człowiekowi pierwotnemu stworzenie quasi fortecy, oblanej zewsząd wodą, która broniła przed wrogami dostępu do osad. Człowiek XX wieku dźwiga na palach swe budynki mieszkalne poto, by uzyskać u ich podstawy wolny rezerwuar dla gazów trujących, które jako cięższe od powietrza, opadają na powierzchnię ziemi.

Ale nie w tem jednem tkwi analogja dawnych i obecnych wysiłków człowieka, uciekającego przed niebezpieczeństwami ustawicznej walki o życie. Jak w pierwszych zdaniach artykułu nadmieniliśmy, jaskinie — owe naturalne schrony — były przez długie czasy jedynem mieszkaniem człowieka. Życie ludzkie powstawało, rozwijało się i ginęło... pod ziemią. Ludzie-krety długo czekali na zbawczą chwilę, gdy częściowo bodaj opanowana przez nich przyroda pozwoliła im na stałe rozkoszowanie się uśmiechem promiennego słońca.

Potem mijały stulecia, w czasie których człowiek zaglądał pod skorupę ziemi tylko wówczas, gdy zabrakło bogactw na jej powierzchni, potrzebnych mu do powiększenia ram cywilizacji. Aż przyszedł wiek XX — era największego rozkwitu, ale zarazem też i upadku, okres olbrzymiej rozterki ducha ludzkiego, szukającego napróżno wyjścia z kataklizmów gospodarczych. I w tem zmaganiu się o lepsze jutro narody sięgnęły do arsenału najstraszliwszych narzędzi wojny, która przed dwudziestu laty zmiotła dosłownie z powierzchni ziemi wiele z tych urządzeń, nad których powstaniem pracowała ludzkość przez wieki całe. W szale zabijania już nietylko samych wrogów, ale i niszczenia wszystkiego, co ich otaczało dobrobytem, lub wkońcu umożliwiało im tylko życie na ziemi, doszła ludzkość do wytworzenia największego w jej dziejach paradoksu — przemienienia sił twórczych w broń niszczycielską. Przed nią to przyszło nam — ludziom XX wieku — chronić się znowu... pod ziemię.

Gaz — synonim śmierci nietylko w kretowiskach rozległych frontów bojowych, ale i na ulicach wielkich miast, włożył nam na twarze maski — stworzył sylwetkę nowoczesnego człowieka, który prowadząc walkę w rozmiarach, jakich świat nigdy przedtem nie oglądał, musiał też do nich dostosować wszystkie dostępne mu rodzaje broni zaczepnej i obronnej. Właściwa walka przeniosła się z rowów strzeleckich do fabryk i zakładów przemysłu wojennego; przestała być próbą sił, w której zwycięstwo odnosi partner, liczebnie silniejszy, a przemieniła się w wyścig umysłów najtęższych techników i chemików.

Każda wojna powoduje zdziczenie instynktów ludzkich, co w konsekwencji sprowadza stosowanie sposobów walki, uznawanych kiedyindziej za niehumanitarne. Smutnym tego przykładem było użycie przez Niemców po raz pierwszy trującego gazu — chloru, na jednym z odcinków frontu francuskiego pod Ypres. Francuzi, zaskoczeni stosowaniem przez przeciwnika nieznanej dotąd broni, ponieśli wielkie straty. W przeciągu piętnastu minut 15 tysięcy ich żołnierzy zatrutych zostało tym niszczącym każdy żywy organizm gazem, a z tych 5 tysięcy zmarło w straszliwych męczarniach. W taki to sposób dotrzymali Niemcy warunków międzynarodowej umowy, podpisanej w roku 1889 w Hadze i powtórzonej potem w roku 1907, a zabraniającej stosowania w wojnach gazów trujących i duszących. Data 22 kwietnia 1915 roku będzie pamiętną w dziejach ludz-



Na prawo: Przegląd masek gazowych przed alarmem.



Wejście do schronu przeciwgazowego na wystawie L. O. P. P. w Warszawie.

Poniżej: Członkowie drużyny ratowniczej w kostjumach przeciwiperytowych.





Akcja ratownicza w czasie ataku gazowego.

kości, bo oznacza ona początek stosowania walki chemicznej na świecie.

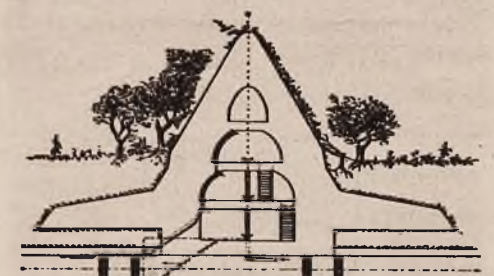
Niemcy, zachęceni powodzeniem pierwszego ataku gazowego pod Ypres, rozpoczęli systematyczne badania w poszukiwaniu jaknajsilniejszych trucizn, a byli do tego doskonale przygotowani, mając najlepiej może na świecie zorganizowany przemysł chemiczny. Rezultatem tej bądź co bądź gigantycznej pracy było wynalezienie przez nich pod koniec roku 1915 nowego gazu, o wiele bardziej zjadliwego i trującego od chloru — fosgenu. Ta nowa broń odniosła największy swój „sukces" podczas ataku na froncie rosyjskim pod Bolimowem, w czasie którego Rosjanie stracili 9 tysięcy ludzi.

Mimo znacznych strat, jakie ponieśli Francuzi podczas pierwszego ataku gazowego, zaniechano niebawem używania chloru w walce chemicznej. Przyczyną tego była zbyt mała toksyczność jego w porównaniu z innemi, później stosowanemi środkami. Dziś chlor posiada już tylko znaczenie historyczne. Jako gaz znacznie cięższy od powietrza, o barwie żółto-zielonej i silnym gryząco-duszącym zapachu, jest on pierwiastkiem chemicznym bardzo aktywnym, tworzącym szereg związków, które posiadają pierwszorzędne znaczenie i znajdują wielorakie zastosowanie w przemyśle i życiu codziennem. Nic więc dziwnego, że kraj o tak wysoko postawionym przemyśle chemicznym, jak Niemcy, mógł w chwili zapotrzebowania wojennego dostarczyć go w ogromnych ilościach. Istota trującego działania chloru nie jest całkowicie wyjaśniona. Skutki wpływu tego gazu odnajdujemy w krwi, w tkankach płuc i zaburzeniach w przemianie materji. Przyczyną zaniechania stosowania chloru jako gazu bojowego była m. in. stosunkowo łatwa możność uchronienia się przed jego działaniem. W przeciągu kilku dni po ataku pod Ypres, koalicja zaopatrzyła swych żołnierzy w rodzaj maski, chroniącej usta i nos z pomocą poduszeczek, nasyconych chemikaljami, neutralizującemi działanie chloru. Podobnym prototypem masek gazowych posługiwali się początkowo także i Niemcy, którzy jednak już w połowie roku 1915 zaczęli stosować ulepszone, podobne do dzisiejszych maski, zaopatrzone w wymienny pochłaniacz gazów.

Drugim zkolei gazem, użytym przez Niemców, był wspomniany wyżej fosgen, który



Wnoszenie zakażonego przez śluzę schronu podziemnego.



Przekrój schronu, według projektu płk. Romani.

powstał przez połączenie chloru z tlenkiem węgla. Jego działanie powoduje obrzęk płuc i w konsekwencji przynosi okrutną śmierć przez powolne uduszenie. Udoskonalona wtedy maska gazowa odsunęła na jakiś czas niebezpieczeństwo. Ten stan trwał do chwili, gdy z końcem roku 1917 Niemcy przygotowali koalicji nową niespodziankę, stosując t. zw. sternity, oraz nowy bardziej od wszystkich poprzednich jadowity związek chemiczny, zwany przez Anglików „gazem musztardowym", lub iperytem. Był to sławny niemiecki „Gelb-Kreuz", który jako ciecz trudno parującą rozpylano w postaci mgły przez napełnianie nim wybuchających pocisków. Mgła iperytowa, niezwykle odporna na działania atmosferyczne, nieraz tygodniami utrzymywała się na powierzchni ziemi, przenikając nietylko do dróg oddechowych człowieka, ale i przez jego ubranie, parząc i niszcząc skórę. Wspomniane wyżej sternity, jako zawiesiny pewnych drażniących substancyj w powietrzu, przechodziły łatwo przez zwykły pochłaniacz maski gazowej i powodowały kaszel i kichanie, zmuszając w ten sposób żołnierza do zdjęcia maski i pozbawienia się obrony przed innemi, znajdującemi się w powietrzu gazami. Te nowe środki walki chemicznej przyniosły dalsze, ogromne straty w szeregach koalicji, która zareagowała na nie użyciem „Vinncenitu", w skład którego wchodził najbardziej trujący ze wszystkich gazów — cjanowodór. Ameryka zaczęła też dostarczać sprzymierzonym dalszych gazów, jak chloropikrynę, adamsyt, chloroacetofenon i wkońcu luizyt, którego działanie na szczęście nie zostało wskutek zawarcia pokoju „wypróbowane" na ludziach.

Wielu z nas, walcząc na frontach wielkiej wojny, poznało i odczuło „na własnej skórze" skutki straszliwej broni gazowej. Nic więc dziwnego, że dziś, gdy świat cały dąży w siedmio-milowych butach ku nowej wojnie, wszystkie cywilizowane narody przygotowują się do niej niezwykle starannie, powiększając nietylko arsenały broni zaczepnej, ale i szukając jaknajlepszych przed nią zabezpieczeń. Na drodze tych gigantycznych wysiłków, które niejednokrotnie pochłaniają trzy czwarte sum preliminaży budżetowych poszczególnych państw, budzą się myśli — powstają projekty (przoduje architekt francuski Corbusier), usiłujące przebudować w myśl wskazań obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej poszczególne budowle, oraz całe dzielnice i miasta. Pisząc o ludziach-maskach i ludziach-kretach, interesuje nas nietyle problem przystosowania domów mieszkalnych do warunków obrony w przyszłej wojnie, ile potrzeba stworzenia dla ludności cywilnej specjalnych pomieszczeń, któreby ją uchroniły przedewszystkiem przed skutkami ataków gazowych. Narody bogate przystąpiły już do realizacji projektów, które przewidują z jednej strony budowę schronów przeciwgazowych w samych miastach (vide fitografje budowy schronu na podwórzu ratusza paryskiego), z drugiej zaś wyznaczają miejsca dla analogicznych urządzeń poza granicami ludzkich osiedli. Te ostatnie znalazły doskonałego projektodawcę w osobie pułkownika armji włoskiej, Romani'ego, którego stożkowaty schron zabezpiecza znajdujących się w nim ludzi zarówno przed gazami, jak i wybuchami wielkich bomb lotniczych.

I w naszym kraju L. O. P. P., organizując rokrocznie pokazy w czasie trwania tygodni propagandowych, zaznajamia ludność z środkami obrony przeciwgazowej. Należy sobie życzyć, by te wysiłki szły w parze z dążeniem całego społeczeństwa do uświadomienia sobie niebezpieczeństw przyszłej wojny

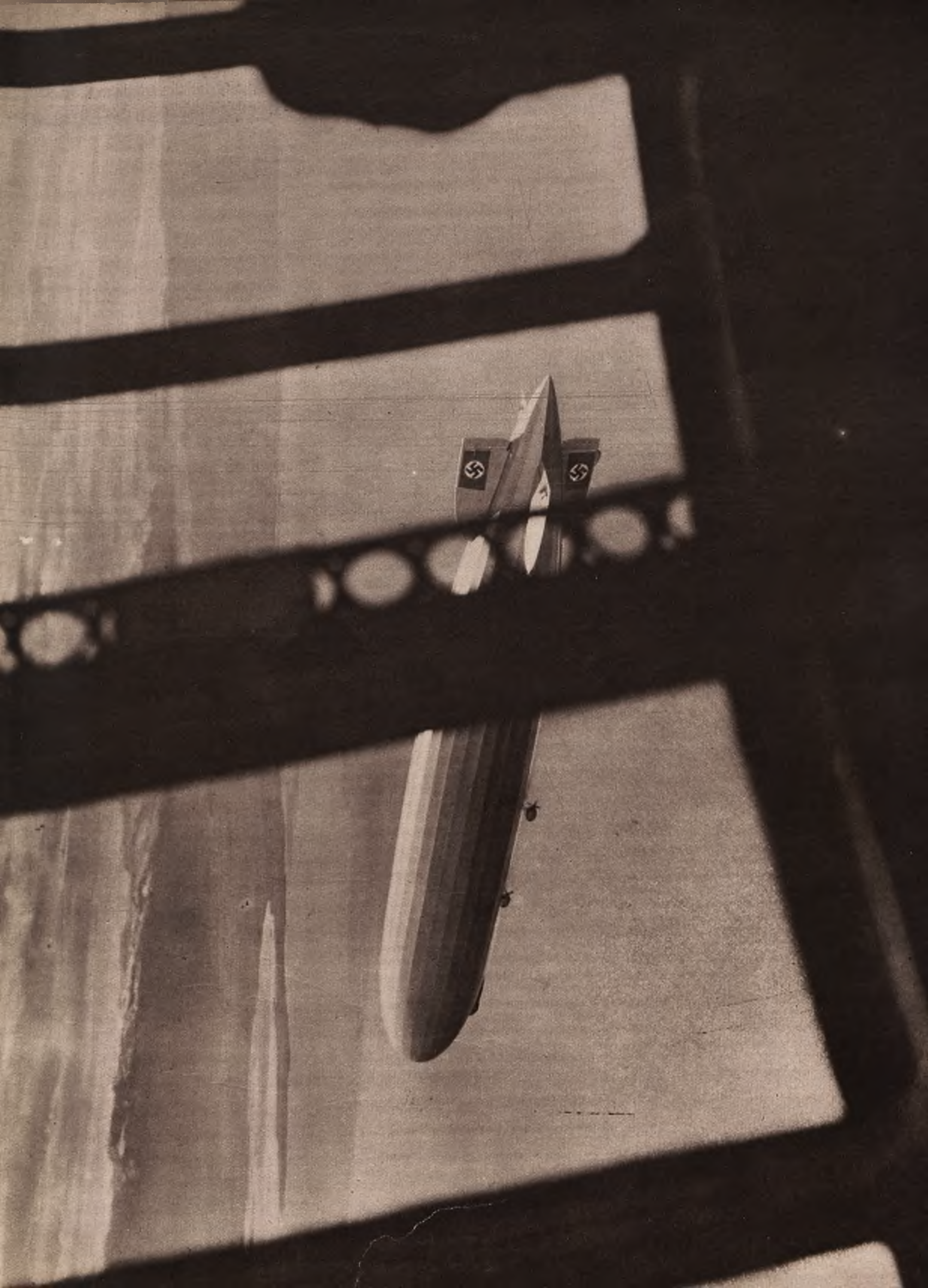
Juljusz Leo.



Budowa schronu przeciwgazowego na podwórzu ratusza paryskiego.

RENDEZ-VOUS OLBRZYMÓW

Zeppeliny mijają się na trasie Europa— Ameryka Płd. ...



MALARSTWO PRZEDHISTORYCZNE



Antylopa — rysunek żłobiony na bazalcie z Transwalu.



Po oderwaniu się z pramaterji ziemskiego świata nieorganicznego, następnie po powstaniu pierwszej drobiny, czy drobin plazmy, a z nią świata organicznego — powstanie myśli stało się trzecim i najbardziej w skutki brzemienym aktem stworzenia w dziejach naszej planety. Oto mózg człowieka, jednostki biologicznej, posiadającej wytknięte stanowisko w przyrodzie — zbudował własny świat nie materjalny, ale dający się zmaterjalizować. Pod nakazami tego odrębnego świata myśli — porzuca człowiek przeznaczoną mu pozycję w przyrodzie, pnie się ku szczytom władzy, zajmuje dominujące stanowisko w przyrodzie i będąc jej cząścią staje się władcą, podporządkowując wszystko prawom swego tworu — prawom świata myśli.

Najmłodszy ze światów, owoc buntu przeciw prawom natury stał się jedyną wytyczną, według której kieruje się człowiek. Myśl aczkolwiek nierozerwalnie związana z bytem człowieka — posiada swą własną egzystencję niezależną od jednostek czy pokoleń, które ją zrodziły. Raz urzeczywistnione twory myśli ludzkiej w postaci pierwszych narzędzi, dzieł sztuki itp. — przetrwały w opuszczeniu tysiąclecia, by po odnalezieniu — obudzić się do nowego życia.

Wiadomości o właściwościach człowieka, jego działalności materjalnej i duchowej przed tysiącami lat odnoszą się do tych odległych czasów, kiedy zrodzona przez człowieka myśl poczęła wydawać owoce. Okresy wcześniejsze (przed epoką paleolityczną) są dla nauki księgą zamkniętą, zagadką, która znajduje tylko jedno rozwiązanie, że dopiero w okresie wspomnianym krystalizowała się i konstytuowała myśl, mająca pozostawić pomniki pobytu człowieka na globie ziemskim.

Równocześnie prawie z powstaniem świata myśli i pod jego wpływem zrodziła się w obudzonym człowieku tęsknota do realizowania tworów wyimaginowanych, zrodzonych w wyobraźni, które w miarę nabierania form, kształtu i barwy zaczęły być ozdabiane. W praczłowieku obudził się zmysł estetyczny, ocknął się pierwszy artysta.

Najbardziej zdumiewającym jest dla współczesnego świata obraz, fresk i rzeźba przedhistoryczna. Prawie równocześnie z pierwszemi narzędziami pradawnego człowieka — z przedmiotami pierwszej potrzeby, zabezpieczającemi słabą istotę ludzką przed czyhającemi na nią niebezpieczeństwami i umożliwiającemi jej trudną i twardą egzystencję w najgorszych warunkach — zaznacza się u tej prymitywnej istoty zamiłowanie do dzieł i przedmiotów artystycznych, lub artystycznie ozdobionych, nie mających absolutnie, jak sądzićby można — nic wspólnego z jego życiem materjalnem. O ile kamienny topór, łuk i maczuga miały uzasadnioną rolę w życiu człowieka przedhistorycznego, o tyle jego obrazy kreśloną okrą na skalach, lub w niej ciosane wydają się przedwczesną prawdą.

Czy odtwarzanie obrazów oglądanych postaci ludzkich i zwierzęcych, komponowanie doskonale w rytmie pomyślanych fresków — było poprostu potrzebą i koniecznem wyżyciem się artysty? Tęsknotą do realizowania niepokojących widm myślowych? Czy sztuka przedhistoryczna spowodowana została jakimś kultem? Czy wreszcie była ona potrzebną dla tajemniczych zabiegów magicznych?

Trudno na to odpowiedzieć. Ślady zamierzchłych kultur są zbyt nikłe, aby odtworzyć na ich podstawie obraz bytu praspołeczeństw. Gdyby jednak sztuka nie wynikała u przedhistorycznego człowieka z jego wewnętrznych potrzeb, a była prowokowana innemi powodami, lub wprzęgnięta została w interesy kultów, religji czy magji — byłoby to bodaj jeszcze bardziej zdumiewające.

Znalezione w różnych zakątkach Europy i Afryki malowidła ścienne — pokrywające ściany grot, będących schroniskiem i domem przedhistorycznego człowieka — wykazują obok prymitywu techniki wykonania, wysoce rozwinięty zmysł estetyczny twórców i niezwykle ciekawe skłonności do odrębnej koncepcji komponowanych dzieł. Odkryte malowidła, pochodzące z różnych miejscowości, wskazują na to, że wszyscy prawie twórcy przedhistoryczni — indywidualnie pojmowali kompozycje, dopuszczali się świadomie w rysunku deformacji figur i postaci, a czasem stylizowali je i upraszczali. Jeżeli dodać, że używali oni niejednokrotnie pewnej symboliki w swych rysunkach i rekwizytów, znanych i właściwych późniejszym kulturom, — malarstwo przedhistoryczne przestanie być tylko dowodem istnienia w pewnych okresach człowieka twórczego, ozdabiającego swe „mieszkania" — a stanie się przyczynkiem do twierdzenia o istnieniu kultur, przechodzących faze rozwojowe i nieomal rewolucyjne etapy twórcze.

Okolicami, w których natrafiono na liczne ślady przedhistorycznych kultur, malowidła, rysunki wycięte w skale i płaskorzeźby — są góry Atlasu, Sahara Zachodnia, Fezan, Nubja, Południowy Egipt, Rodezja Południowa, kraj Basuto, Transwal, Natal i wreszcie Kap. W Europie krajami, gdzie dokonano licznych znalezisk przedhistorycznego pochodzenia, są Niemcy, Austrja, Anglja, Francja, Hiszpanja, Polska i in.

We Francji, gdzie w epoce lodowcowej, wytworzyły się najlepsze możliwości bytowania, ukazują się pierwsze ślady sztuki diluwjalnej, występujące w młodszym paleolicie (okres oryniacki). To samo dzieje się w Hiszpanji. Zczasem jednak gdy lody cofają się, szczepy przedhistoryczne wędrują ku północy, a ślady ich obecności sięgają aż ku dalekiej Rosji. Na pierwszy plan wysuwa się rzeźba, najczęściej posążki kobiet, odnalezione w jaskiniach Brassenpong w Mentonie, w Lespugue we Francji, w Trou-Magrite w Belgji i w Willendorfie w Austrji. Zczasem jaskinie zaludniają się rzeźbami zwierząt, poczem przychodzi okres rysunków konturowych.

Breuil — podzielił sztukę trwającą od okresu oryniackiego aż do końca paleolitu — na pięć faz: 1) Rysunki konturowe w kolorze czarnym, czerwonym i żółtym, 2) Rysunki głęboko ryte jednobarwne, 3) Freski jednolicie zabarwione, o niezwykle delikatnej strukturze, 4) małe i dokładne polichromje (zamiast monochromji), . 5) Stylizacja geometryczna w postaci gałązek i uproszczonych figur.

Odnośnie do dzieł z Fezanu, odkrytych przed niedawnym czasem — dr. Frobenius, znakomity autor wielu prac z zakresu malarstwa przedhistorycznego, oznacza w przybliżeniu ich wiek na 8 tysięcy lat przed nar. Chr. Wydaje się jednak, że omawiane zabytki są starsze — przedstawiają bowiem faunę, która z pewnością nie mogłaby się już wyżywić na istniejących w tym czasie pastwiskach. Zwierzęta z rysunków fezańskich musiały więc być współczesne ludom w czasie, kiedy Fezzan jeszcze nie przestał być dostatecznie „zielony", aby wyżywić stada słoni, żyraf, bawołów, strusi — i co zatem idzie — ludzi, żywiących się mięsem tych zwierząt.

Rysunki z okręgu Fezanu można podzielić na dwie grupy. Do jednej zaliczają się wizerunki zwierząt dzikich, do drugiej podobizny zwierząt domowych i postacie o głowach zwierzęcych lub zakrytych maskami. Te ostatnie wykazują dużo podobieństw do bóstw starożytnego Egiptu. Rysunki zaliczone do grupy pierwszej wykonane zostały przez artystów ze szczepu myśliwych, który następnie opanowany został najprawdopodobniej przez ludy bardziej ucywilizowane.

Na specjalne uwzględnienie zasługują rysunki z Fezanu odkryte w okolicy oazy Ghat. Rysunki te są w wymiarach bardzo niewielkie. Niektóre z nich wykonane są na granicie, lub wycięte w kamieniu. Wśród zabytkowych fresków i malowideł z Ghat znajdują się wizerunki postaci nagich, o głowach zwierzęcych, zbliżonych do figur rysowanych z Afryki Południowej, bądź też postacie ubrane w suknie, o kroju silnie wciętym, przypominające znowu bardzo swym charakterem rysunki przedhistoryczne z Hiszpanji. Rysunki z oazy Ghat wykonane są czerwoną okrą.

Do grupy rysunków z Atlasu należą okazy o dużych rozmiarach, wykonane tą samą techniką, co zabytki z Fezanu. Rysunki



Rysunek z Fezanu.



Figurka oryniacka z kości mamuta t. zw. Wenus z Willendorf.

Na marginesie: Rysunki kapskie i buszmeńskie.

z Atlasu przedstawiają przeważnie poszczególne zwierzęta, oraz sceny z polowań.

Malowidła z Nubji są w porównaniu z poprzedniemi niemal minjaturami. Są one malowane z tendencją do stylizacji geometrycznej. Sąsiedztwo Egiptu wywiera tu wyraźny wpływ, a rysunki zbliżone są do wzorów z grobów przeddynastycznych z epoki Negada. Symbole religijne nubijskie przypominają świętego byka.

Grupa rysunków z Afryki Południowej i freski z Rodezji są już o wiele późniejsze. Rysunki przedstawiają najrozmaitsze postacie, drzewa, rzeki i wykonane są konturem jednobarwnym. Frobenius oznacza ich wiek na 4 tysiące lat przed naszą erą. W Transwalu, w Kap i w Natalu najstarsze ludy pozostawiły rysunki najrozmaitszych zwierząt, wykute w skale i ogromne freski polichromowane. Freski kolorowane wcieraną w kamienną ścianę farbą — przedstawiają przeważnie sceny z polowań, i wykazują dużo podobieństw do kompozycji tej samej treści z grot Altamiry w Hiszpanji. Postacie na tych freskach są silnie schematyzowane ze skłonością do deformacji.

Nie jest zadaniem tego artykułu zdawać sprawozdanie z domysłów, badań i orzeczeń prehistoryków, którzy porównują analogje i dociekają rodowodów starożytnych bóstw Egiptu, szukając ich początków (jak np. Apisa) w rytualnych tańcach z maskami z Rodezji. Drogowskazy na szlakach wędrówek prastarych plemion, posiadają przedewszystkiem wymowę jako dzieła sztuki i wyłącznie jako takie są na tem miejscu omawiane.

Świat nowoczesny nie doczekał się jeszcze — pomimo szczerego zainteresowania sztuką przedhistoryczną — rzeczowej krytyki i omówienia tych dzieł. Oficjalna historja sztuki sięga zaledwie wzmiankami do kultur Chin i Persji. Jakaż ogromna — jeszcze niezapełniona przestrzeń czasu dzieli tę starą, egzotyczną kulturę od niewątpliwych początków i narodzin sztuki na globie ziemskim, jaką jest malarstwo przedhistoryczne. Dla współczesnych społeczeństw sztuka przedhistoryczna przedstawia się zaledwie jako ciekawostka — jako kurjozum, wywołując częste uśmiechy politowania dla pozornego prymitywizmu tych zabytków. Zbyt wielka przepaść dzieli dzisiejszego człowieka od jego pierwszych kroków — aby mógł z łatwością pojąć potęgę i wielkość tej prastarej sztuki. Dziś, gdy przeszedł on tyle etapów — gdy zasklepił się we współczesnych szablonach, te odległe dzieje, sięgające w pomrokę dziesiątków tysiącleci wydają mu się napozór błahe i pozbawione jasnej celowości.

Przypomnieć należy, że do niedawna sztuka grecka i mykeńska z Knossos, była dla współczesnego człowieka najodleglejszą kulturą, z którą czuł się związany, spokrewniony i którą pojmował. Był to, jak zdawało się, kres starożytnych dziejów człowieka cywilizowanego. Wkrótce jednak, jak objawienie spłynęło na ludzkość poznanie sztuki starożytnego Egiptu, sztuki japońskiej, perskiej, indyjskiej... Świat w poszukiwaniu i pojmowaniu swych prastarych tropów posunął się znacznie naprzód, nie dotarł jednak do początku właściwego.

Zmysł estetyczny człowieka doby dzisiejszej, wychowany na specjalnych kryterjach niemal ustandaryzowanych — trudno nagina się do przejawów tak odległych, jak sztuka przedhistoryczna.

Rysunki człowieka przedhistorycznego pozbawione pozy i kłamstw — tętnią prawdą, są przekonywujące i posiadają nieprawdopodobną wprost dynamikę. Postacie, unieruchomione w kamieniu, czekają tylko, by wystąpić z płaszczyzny, na której zostały wyczarowane i powrócić do życia i nowej wegetacji. Jest w tych malowidłach prostota, jaką daje w rysunku bezpośredniość tworzącego dziecka, które w swej bezpretensjonalnej sztuce nie omija szczegółów, komponuje jasno i rzeczowo, przystosowując dzieło do szybkiej i planowej wymowy.

Obrazy z Fezanu — wycięte w twardym materjale rylcem krzemiennym, o podkolorowanym konturze, posiadają charakterystyczną dla materjału moc linij — z trudem wydartej kamieniom, monumentalność postaci i siłę wyrazu. Rzeczy te rzucone na płaszczyznę jako płaska forma, obrysowane linią — nabierają w cudowny sposób plastyki, same z siebie i naskutek tajemniczej siły — mylnie posądzonej o prymitywizm — linji. Faktura i plamiste zabarwienie kamienia, na którym rysunki są wykonane, nie stwarzają sugestji, że się ma do czynienia z czemś zimnem i twardem. Zwierzęta żyją, w każdej chwili mogą poruszyć się, są z ciała i krwi.

Plastyka rysunków z Ghat, podkreślona cieniowaną plamą, położoną zdawałoby się bez namysłu i z maestrją japońskiego rysownika. Rysunki z Ghat zamarłe w bezruchu, w pół kroku, drgnienia czy skoku, są podpatrzone znakomicie i przetworzone następnie, uproszczone, umotywowane kompozycją. Rysunki te posiadają pewne analogje z malowidłem ściennem wilka z jaskini Fout de Gaume we Francji, potraktowanego fakturowo podobnie.

Malowidła z Rodezji, to wielkie kompozycje zapełnione licznemi postaciami, ustawionemi w znakomitym rytmie i rozplanowane na płaszczyźnie — dają wyraz akcji zbiorowej, przemyślanej, jak sama kompozycja. Postacie nieco przerysowane z zaznaczającemi się deformacjami stanowią niehistoryczne, lecz formalne przejście do dzieł z Transwalu, Kap, Natalu itd. wykazujących już zdecydowane skłonności do deformacji.

Słoń z Transwalu, wyżłobiony w bazalcie stanowi pierwszorzędny przykład deformacji, dążącej do podkreślenia ogromu i potęgi tego zwierzęcia. Plastyczna faktura, imitująca zmarszczki na skórze zwierzęcia, jest uproszczona, podkreśla jednak znakomicie budowę kolosa. Przerysowana antylopa, pochodząca również z Transwalu, jest już skończenie wyrafinowana w swych proporcjach i wyrazie.



Scena polowania z groty Alpera w połdn. Hiszpanji.



Na lewo: Fresk z Rodezji połdn.



Na prawo: Postać człowieka o zwierzęcej głowie z oazy Ghat w Fezanie.

Rysunki przedhistoryczne na terenie Europy podzielono na dwie grupy. Do pierwszej należą malowidła i rysunki z poł. Francji i poł.-zach. Hiszpanji, przedstawiające zwierzęta pasące się lub odpoczywające, oraz różne znaki symboliczne. Rysunki te cechuje spokój, są wykonane delikatnie i z wielką maestrją. Różnią się one zasadniczo od rzeczy, należących do drugiej grupy ze wsch. Hiszpanji, a przedstawiających sceny taneczne, walki łuczników i polowania.

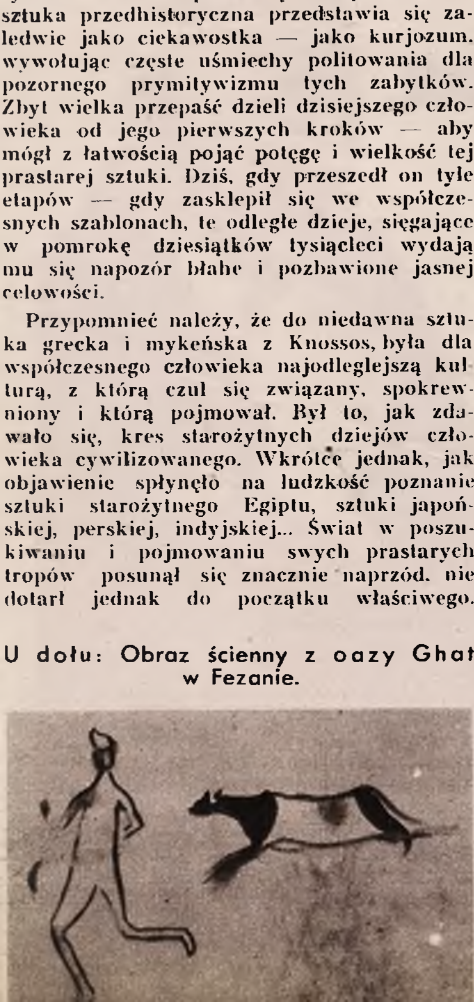
Rysunek z groty Alpera z poł. Hiszpanji, wyobrażający polowanie na jelenie, jest wykonany kolorami czarnym i czerwonym. Kompozycja sceny polowania nie zamknięta ramami naturalnemi, wykonana na skale — jest tak silnie związana i w walorze kolorystycznym tak opanowana, iż jakiekolwiek ograniczenie sceny linją jest tu zupełnie zbyteczne. Zwierzęta w ruchu, niektóre w śmiałych skrótach, i postacie myśliwych gotowych do strzału składają się na wizję i przeżycie artystyczne niepośledniej jakości. Sztuka ta wiąże się silnemi pokrewieństwami z kulturami półn. Afryki z okresu neolitycznego.

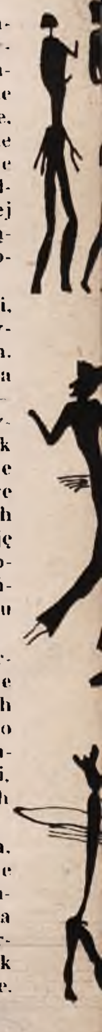
Dla współczesnych natur i talentów bardziej sensytywnych, dzieła przedhistoryczne stały się przyczyną odnalezienia nowych dróg i rozwiązań malarskich. Malarstwo przedhistoryczne, zarówno jak sztuka Dalekiego Wschodu czy rzeźba z wysp Oceanji, wywarła silny wpływ w pewnych okresach na współczesne prądy plastyczne.

W pracach Makowskiego, Picabii, Picassa, Dufy, Baudin, Klee — znaleźć można te same tendencje, które kierowały ręką pradawnego artysty. W ten sposób analogje na przestrzeni tysięcy lat zamykają się w pierścieniu wydarzeń artystycznych, a dwa tak odległe końce sztuki zbliżają się ku sobie.

Janusz Maria Brzeski.

U dołu: Obraz ścienny z oazy Ghat w Fezanie.





Na marginesie: Rysunki kapskie i buszmeńskie

MIXER TONÓW W GMACHU OPERY



Przepełniona widownia „Metropolitan Opera House" w Nowym Jorku.

Niektórzy miłośnicy muzyki mają pewną, często nieujawnioną, a często głośno proklamowaną niechęć do zdobyczy techniki w odniesieniu do muzyki. Uważają oni, że radjo coprawda przyczyniło się do spopularyzowania muzyki, ale ta popularyzacja odbywa się ich zdaniem kosztem czystości i szlachetności tej może najpiękniejszej ze sztuk. Nie mówiąc już nawet o rodzaju utworów muzycznych, nadawanych najczęściej przez radjo, które musiało się dostosować do niezbyt wybrednego smaku t. zw. szerokiej publiczności, zarzucają owi malkontenci transmisjom radjowym nieścisłe i małowierne oddanie brzmienia utworu muzycznego. Niektórzy nawet z wybitnych muzyków wyznają otwarcie, że woleli stosunki dawniejszej, przed powstaniem i rozpowszechniem się radja.

Nie zamierzamy tu bynajmniej zabierać głosu w tej bezsprzecznie ciekawej dyskusji, ale chcemy dorzucić kilka faktów z dziedziny zastosowania urządzeń nowoczesnych dla poprawienia walorów dźwiękowych czy to instrumentów muzycznych, czy też głosu ludzkiego. Otóż przedewszystkiem warto zaznaczyć, że niema już dziś zagranicą teatru lub sali koncertowej bez urządzeń elektroakustycznych. Przeważnie służą one tylko dla transmisyj radjowych. W wielu jednak wypadkach i to w największych salach operowych świata wprowadzono urządzenia te dla celów zupełnie samoistnych, a więc dla poprawienia i udoskonalenia samych przedstawień i produkcyj muzycznych.

Weźmy tu dla przykładu niezwykle ciekawe urządzenia, które wprowadzono w berlińskiej operze państwowej. Instalacja dla samej transmisji radjowej odgrywa już teraz rolę drugorzędną wobec ogromnego bogactwa i wielkiej rozmaitości różnych mechanizmów elektrycznych, służących dla innych celów dźwiękowych.

A więc przedewszystkiem umieszczono cały szereg mikrofonów na scenie, wśród orkiestry, oraz na widowni, które wraz z wzmacniaczami i głośnikami służą do transmisji głosowej w obrębie samego budynku operowego. W ten sposób osoby, nie biorące chwilowo udziału w przedstawieniu, ale mające jakąś rolę w danej operze mogą być dokładnie poinformowane o przebiegu przedstawienia i odpowiednio przygotować się do występów. Odpowiednie głośniki znajdują się więc w garderobach, w miejscu pracy reżysera, intendenta i kierownika efektów scenicznych. Głośniki takie znajdują się również i w foyer oraz na korytarzach gmachu operowego. Dzięki temu osoby, które się spóźniły na początek przedstawienia mogą wysłuchać np. uwertury na korytarzu, nie przeszkadzając nikomu z audytorjum. Z tej stałej transmisji, odbywającej się podczas każdego przedstawienia, korzystają także niektóre osoby, znajdujące się na widowni... Ludzie o słabym słuchu mają bowiem zarezerwowanych kilkanaście krzeseł, zaopatrzonych w słuchawki, połączone z urządzeniem przekaźnikowem, mieszczącem się za sceną. O tem, że istniejące urządzenia umożliwiają transmisję radjową za pośrednictwem radjowych stacyj nadawczych, pisaliśmy już powyżej i to się samo przez się rozumie. Mikrofony, znajdujące się na widowni, służą oczywiście wówczas, gdy na sali odbywają się jakieś uroczystości i wygłaszane są przemówienia. Umieszcza się je teraz tak, że są zupełnie niewidzialne dla otoczenia. Zponad podłogi wystają tylko same puszki, natomiast wzmacniacz lampowy ukryty jest w puszce zabezpieczonej od wstrząsów gąbką gumową.



Powyżej: Imponujący gmach opery w Chicago (po prawej).

Na tem jednak nie koniec. Opisane urządzenia służą do słuchania przedstawienia lub produkcji muzycznej. Prócz tego jednak, wbrew głosom przeciwników t. zw. zmechanizowanej muzyki, wprowadzono urządzenia, dające pewne efekty muzyczne, a zatem biorące jakgdyby udział w przedstawieniu. W wielu operach występują przecież często soliści lub chóry za sceną, a wtedy głos ich dochodzi tylko słabo i niewyraźnie na widownię. Tymczasem nie leży to bynajmniej zawsze w intencji twórcy tej opery. Aktorzy mają pozostać niewidzialni, ale głosy ich mają być słyszalne. — W tym wypadku korzysta się z innych znowu mikrofonów, umieszczonych za kulisami. Głosy zza kulis dostają się po wzmocnieniu na widownię zapomocą głośników. W ten sam sposób nadaje się obecnie rozmaite efekty i sztuczki muzyczne, np. głosy dzwonów, gongu, organów, piorunów, szum wichru i deszczu, przyczem korzysta się nawet z nagrań płytowych. Widzimy więc, że nietylko słuchacz radjowy przy swoim głośniku, ale nawet audytorjum w samym gmachu opery słucha muzyki, korzystając z urządzeń elektroakustycznych.

Rzecz jasna, że w gmachu opery znajduje się specjalna centrala elektroakustyczna, podzielona na kilka oddziałów. Rozmiarami swoimi, ilością mechanizmów i ludzi przy



Na prawo: Urządzenie, umożliwiające ludziom o słabym słuchu udział w przedstawieniu operowem.

nich zatrudnionych, jest ona w takiej np. operze berlińskiej czemś imponującem. Do centrali tej dochodzą przewody z wszystkich mikrofonów scenicznych, których znajduje się 8 na scenie tak, aby z każdego miejsca głos śpiewaka był dobrze słyszalny. Tak samo dochodzą tu przewody z mikrofonów, umieszczonych za kulisami, oraz w sali nagrywań efektów dźwiękowych. W centrali znajduje się pulpit, a raczej tablica rozdzielcza z przełącznikami i gniazdkami. Przy tej tablicy siedzi człowiek, t. zw. „mixer", regulujący dowolnie wysokość i udział poszczególnych głosów w całej audycji. Także i pod tym względem widzimy, że centrala elektroakustyczna teatru stała się podobna do atelier wytwórni filmowej. W tej centrali znajduje się mnóstwo wzmacniaczy o najrozmaitszej mocy, automatyczne regulatory i wyrównywacze różnic natężenia głosów itd.

Każdy bywalec opery zwrócił niejednokrotnie uwagę na to, że w partjach, w których orkiestra brzmi donośniej, nie słyszy się prawie zupełnie śpiewaków. Pod tym względem pewne sale operowe wyróżniają się szczególnie niekorzystnie. Ale i na to znalazła się rada. Wprowadzono bowiem takie urządzenia, które przenoszą niejako głos śpiewaków ponad głowami orkiestry. Są to oczywiście znowuż mikrofony, umieszczone na scenie lub między kulisami, połączone systemem wzmacniaczy z głośnikami, znajdującemi się na widowni. Dzięki temu słuchacze, nawet siedzący w dalszych rzędach, mogą słyszeć śpiew, także i wtedy, gdy orkiestra gra „tutti".

Tego rodzaju urządzenia kryją w sobie pewne niebezpieczeństwo. Szczególnie, gdy sala operowa jest bardzo duża ,może się zdarzyć wypadek dość przykry dla ludzi o słabem „umuzykalnieniu" Oto głos, który przez głośniki dostaje się do uszu słuchacza, może przybyć wcześniej od głosu dochodzącego wprost ze sceny, bez pośrednictwa urządzeń elektrycznych. Efekt jest wtedy okropny! Słyszy się podwójnie i takie słuchanie staje się udręką. Wypadki owe miały miejsce nietylko podczas przedstawień operowych, ale także podczas uroczystości, odbywających się w wielkich salach, albo pod gołem niebem. Ludzie, znajdujący się w polu zasięgu dwóch głośników, niczego nie rozumieli, ponieważ głosy z tychże głośników nie nadchodziły równocześnie. Na to także znaleziono sposób. Oto głośniki umieszczono nie w dowolnych miejscach, tylko w pewnych szczególnych odstępach. Wyobraźmy sobie, że idzie o jakieś przemówienie. Wtedy pierwsza serja głośników znajduje się niedaleko mówcy, przeznaczona dla słuchaczy, niezbyt od niego oddalonych. Te głośniki ustawia się zazwyczaj na obwodzie koła, tak, jak głos się rozchodzi. Z tych też głośników skierowuje się głos do rur, znajdujących się pod ziemią, a rozchodzących się promienisto od miejsca, w którem stoi mówca. Tajemnicze rury podziemne mają ciekawe znaczenie w transmisji głosu: ich zadaniem jest opóźniać jego szybkość.

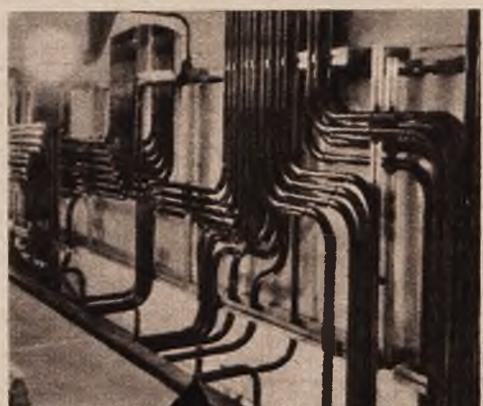
Głos dochodzi do drugiego końca rury, w którym znajduje się znowu mikrofon i wzmacniacz oraz głośnik i to w tym czasie, w jakim dochodzi on do tego miejsca ponad ziemią. Fale głosowe z tego drugiego głośnika trafiają więc do uszu słuchacza dokładnie w tej samej chwili, w której dochodzi go słaby zresztą głos z pierwszej serji głośników, wzgl. od samego mówcy. Niema już więc mowy o jakiemś zniekształceniu głosu. To samo dzieje się znowu z trzecią serją głośników, umieszczoną jeszcze dalej. Do tej trzeciej serji prowadzą znowu rury podziemne, na których końcu znajdują się wzmacniacze, filtry głosowe i głośniki.

Wracając do początkowego tematu rozumiemy już teraz, że w dużych salach operowych można zapobiec temu, by głos z głośnika nie zniekształcał i nie kłócił się z głosem, dochodzącym wprost ze sceny. Trzeba być bardzo upartym konserwatystą, by nie uznać korzyści, płynących z używania rozumnie stosowanych elektroakustycznych ulepszeń.

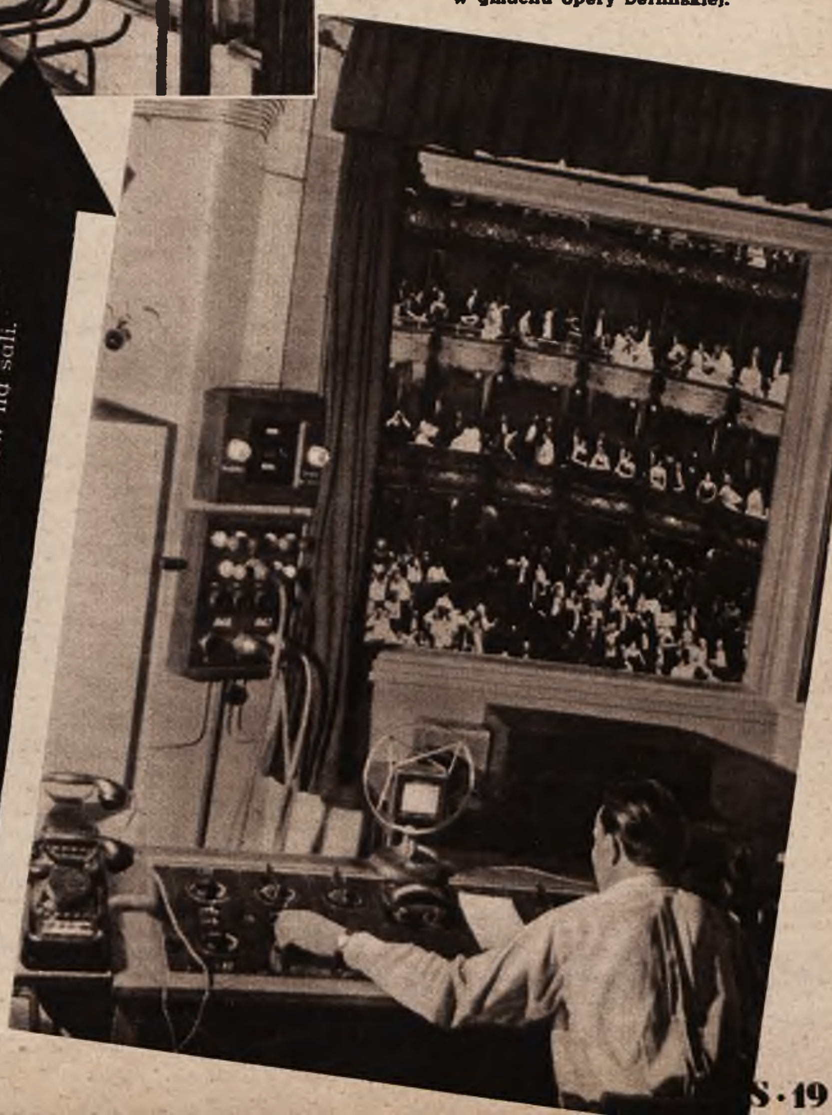
Pomyślmy wreszcie o jeszcze jednej wadzie dotychczasowych sal operowych lub teatralnych. Akustyka sali była mniej lub więcej zależna od przypadku. Zdarzało się najlepszym architektom że sala koncertowa, wybudowana przez nich, nie była akustyczna. I co za pociecha wtedy z najlepszych nawet produkcyj muzycznych? Istnieją wprawdzie różne środki dla polepszenia akustyki sali, ale przecież lepiejby było, gdyby się już przy budowie rozwiązało ten doniosły problem. Otóż i w tym wypadku korzysta się teraz we Francji i w Holandji z ciekawych ulepszeń. Buduje się dokładny model sali z wszystkimi jej szczegółami. W miejscu, gdzie w przyszłej sali znajdować się będzie orkiestra lub trybuna mówcy, umieszcza się bardzo silne źródło światła elektrycznego. Rozchodzi się ono we wszystkich kierunkach, tak, jak w przyszłości rozchodzić się będą fale głosowe. Poszczególne ściany sali pomalowane są na modelu kolorami, posiadającemi zdolność odbijania światła, podobnie, jak materjał, z którego wybudowane będą ściany przyszłej sali, wrażliwy jest na odbijanie fal głosowych. W ten sposób otrzymuje się na modelu w miejscu, odpowiadającem widowni, pewien efekt świetlny. Jeżeli ustawimy tam matówkę, to będzie ona albo jednostajnie oświetlona, albo też będzie wykazywała naprzemian jasne i ciemne plamy. W wypadku pierwszym można wnioskować, że akustyka w przyszłej sali będzie doskonała, w drugim zaś wręcz fatalna. Nie ryzykując dużych kosztów, można zgóry wypróbować na modelu, jakie będą warunki akustyczne w przyszłej sali. Pewna wielka elektrotechniczna firma holenderska przebudowała w ten sposób już istniejącą salę koncertową i to z doskonałym rezultatem.

Wszystkie te ulepszenia akustyczne znajdują się dopiero w początkach swego rozwoju mimo to są najlepsze widoki, że dzięki nim poprawią się warunki odbioru wrażeń słuchowych w salach koncertowych. Nie rozstrzygając samej istoty zagadnienia, czy muzyka skorzystała przez niezwykły postęp elektrotechniki, skonstatować możemy fakt, że warunki samego odbierania wrażeń muzycznych ogromnie dzięki niej się polepszyły.

Inż. J. A.



Rury biegnące pod ziemią, stanowią filtry dla dźwięków, przekazywanych do dalszych głośników na sali.



Poniżej: Mixer tonów w kabinie, zainstalowanej w gmachu opery berlińskiej.

Hawajskie kwiaty.

Znamy je z pięknych melodyj,
gdy dźwięczą hawajskie gitary,
gdy czar ich marzenie wymodlił
nad życiem codziennem i szarem.

I często radjowy głośnik
odległe wizje nam stwarza
o słońca bezkresnej radości
na parnej przyrody ołtarzach.

Fantazja tak dużo potrafi
i umie ujarzmić i spętać...
Nam tylko na fotografji
hawajskie tańczą dziewczęta...

Z.



CIEKAWE WIADOMOŚCI

Czem jest nikotyna i jaki ma wpływ na organizm ludzki?

Zdania co do szkodliwości palenia i wpływu nikotyny oraz tytoniu na organizm ludzki są bardzo podzielone. Faktem stwierdzonym jest, że palenie tytoniu wpływa ujemnie na zdrowie człowieka — jednak stopień szkodliwości uzależniony jest w zupełności od odporności konsumenta przedewszystkiem i od gatunku i ilości wypalanego tytoniu.

Dotychczas nie stwierdzono definitywnie, aby jeden ze składników tytoniu — nikotyna — najbardziej przez ogół oskarżana o własciwości „zabójcze" — była właśnie tą najszkodliwszą dla organizmu człowieka trucizną. Wskutek tego mylną będzie djagnoza, że „ktoś zatruł sie nikotyną wskutek palenia", ponieważ „ulega on raczej zatruciu tytoniem". Zatrucie takie następuje wskutek nadużycia używki tytoniowej, lub wskutek minimalnej odporności danego osobnika na tę używkę. Wyniki licznych badań wykazały, że organizmy silne — nawet przy olbrzymich dozach tytoniowych — nie poniosły najmniejszych strat wskutek palenia.

Nikotyna działa na człowieka podniecająco — nadużycie jednak tytoniu osłabia zmysły i wolę. Ciekawem jest, że schorzenia wielu organów u palacza przypisuje się zazwyczaj innym przyczynom zewnętrznym, a nie właśnie tytoniowi. I tak bóle żołądka, bóle głowy, oczu, uszu są bardzo często wynikiem zatrucia, spowodowanego nadużyciem tytoniu. Najlepszym tego dowodem powinien być fakt, że krótkie chociażby przerwy w paleniu usuwają te niedomagania zupełnie w szybkim czasie.

Nikotyna w czystym chemicznie stanie jest bezbarwnym płynem, o silnym i charakterystycznym zapachu i ostrym smaku. W tej postaci jest ona silną trucizną. W roślinie tytoniowej nikotyna znajduje się obok innych składników mineralnych i organicznych. Tytoń prócz nikotyny posiada jeszcze pewne alkaloidy bliżej niezbadane. Do dziś niewiadomo, czy alkaloidy te tworzą się za życia rośliny, czy też powstają po zbiorze liści w okresie fermentacji i suszenia. Jedynie co do nikotyny wykazały badania jej obecność podczas wegetacji rośliny i to już od najmniejszego pędu, przyczem zawartość tego składnika rośnie w miarę dojrzewania.

Ilość nikotyny w tytoniu zależna jest od bardzo wielu postulatów. Odgrywa tu rolę gatunek rośliny, ziemia, na której ona jest uprawiana, klimat, rodzaj uprawy, wreszcie sposób zbiorów, suszenia, fermentacji itd. Tytonie azjatyckie zawierają około 5 proc. nikotyny, amerykańskie 1, 5—3, 5 proc., hawańskie 3 proc., węgierskie 8 proc. Ciekawem jest, że tytonie polskie posiadają znikomy procent nikotyny, bo 0.3 proc. Oczywiście procent ten odnosi się do najwyższych gatunków naszych tytoni.

Obecność nikotyny w roślinie tytoniowej odkrył Vauquelin w r. 1809 — nikotynę zaś w stanie czystym uzyskali chemicy Posselt i Reimann w r. 1828, ustalając jej pierwszy wzór chemiczny, poprawiony ostatecznie przez Barrel'a, który po zbadaniu drobiny nikotynowej opisał ją wzorem $C_{10} H_{14} N_2$.

Promienie podczerwone wskazują drogę lotnikom we mgle.

Merton, amerykański inżynier, wraz z fizykiem rosyjskim Zworykinem — zbudowali przed niedawnym czasem aparat, umożliwiający lądowanie samolotów na nieoświetlonem lotnisku.

Dzieje się to w ten sposób, że zainstalowany na lotnisku aparat wysyła w przestrzeń promienie podczerwone — niewidzialne dla oka ludzkiego, umieszczony zaś na pokładzie płatowca aparat odbiorczy transformuje wysyłane promienie na obraz widzialny. W ten sposób pilot w samolocie może obserwować lotnisko pomimo ciemności, czy gęstej mgły, zupełnie wyraźnie i silnie oświetlone.

Doświadczenia wykazały, że przy pomocy nowego aparatu Mertona i Zworykina — możliwem jest dostrzeganie aeroplanów nawet na znaczną odległość, gdy osłonięte są sztuczną mgłą. Nie potrzeba dodawać, jak wielkie znaczenie ma wynalazek ten dla podniesienia bezpieczeństwa przy przelotach pasażerskich w nocy i w czasie mgły, oraz dla wojska, które odkryje zapomocą wyżej wspomnianego aparatu nieprzyjaciela o wiele wcześniej, niż to miało miejsce dotychczas przy pomocy akustycznych aparatów podsłuchowych.

Dlaczego zdjęcia lotnicze wykazywały czasem błędy?

Zdarzało się często, że zdjęcia lotnicze, dokonywane na różnych wysokościach, pomimo dobrych warunków, przejrzystości powietrza i dobrej ekspozycji, były niedoświetlone i wykazywały pewne braki techniczne, które dla badań naukowych i dla wojskowości były bardzo niewygodne.

Przyczyna tego zjawiska okazała się nader prostą. Oto wskutek niskich temperatur, panujących często już na niewielkich nawet wysokościach, po otworzeniu kasety — znajdująca się w kamerze fotograficznej para wodna osiadała na emulsji kliszy. Proces ten niewątpliwie zmniejsza w znacznym stopniu czułość kliszy i powoduje mgliste, nieudane zdjęcia.

Dzieje personifikacji mocarstw

John Bull niepokoi się wypadkami w Hiszpanji! Wuj Sam znowu pożycza Europie pieniadze, a Marjanna flirtuje z Litwinowem....

Oto parę tytułów z prasy codziennej. Mówią one o jakichś ludziach. Kimże jest w istocie John Bull, Wuj Sam i Marjanna... Niema zapewne człowieka, któryby nie wiedział, że chodzi tu o Anglję, Amerykę i Francję... John Bull, to opasły pan, z miną pewną siebie, patrzący zgóry, pan w wysokich butach i cylindrze, przypominający nieśmiertelnego Pickwicka. Wuj Sam, to wysoki, kościsty jegomość. Ma on kozią bródkę, ubiera się w kolorowy frak, a cylinder jego uszyty jest z flagi narodowej U. S. A. Marjanna czuje się zazwyczaj świetnie w towarzystwie tych panów. Ma na głowie frygijską czapkę, upamiętniającą okres jej narodzin. Jak każda kobieta jest ona lekkomyślną i lubi flirtować z różnymi panami, nie bacząc na skutki swego postępowania. Marjanna jest zgrabną kobietą, w obcisłej, krótkiej sukni, ma wykarminowane wargi i zalotnie się uśmiecha.

Tak mniejwięcej wyglądają postacie personifikujące trzy mocarstwa świata: Anglję, Stany Zjednoczone A. P. i Francję, postacie znane wszystkim z rysunków satyrycznych i politycznych.

Z racji ich popularności warto będzie zająć się rodowodami znajomków i zajrzeć do ich metryk. John Bull, Anglik, urodził się bardzo dawno, bo w XVIII wieku za panowania królowej Anny, którą kierowała bezwzględna i wpływowa Sara Churchill, żona księcia Marlborough. W tym czasie Anglja prowadziła wojnę z Ludwikiem XIV (1698—1713). Wodzem armji angielskiej był ks. Marlborough. Sara Churchill, snująca marzenia o przyszłej sławie męża, pomimo przewlekłego i niekorzystnego przebiegu akcji wojennej nie godziła się na zakończenie jej. Gdy wreszcie koniec wojny przypieczętował pokój w Utrechcie, zawarty na skutek odwołania ks. Marlborough — opinja publiczna poczęła za kosztowną wojnę mścić się na księciu. Wkrótce ukazał się paszkwil na księcia w formie książeczki, zatytułowanej „Historja Johna Bulla". Książka ta zyskała ogromny rozgłos. Marlborough miał w paszkwilu rolę prokuratora, który swym biurokratyzmem i niezdecydowaniem doprowadził powaśnione strony do wyczerpania i zgody poza swemi plecami.

Karykaturzyści szybko podchwycili dobrze zarysowaną postać Anglika — Johna Bulla. Rysunek, podobnie jak paszkwil, podobał się, a postać raz naszkicowana, żyje do dziś, nie starzejąc się i nie zmieniając ubioru. Każdy Anglik patrzy z sympatją na Johna Bulla jako na postać uosabiającą społeczeństwo angielskie i jest do niego szczerze przywiązany, jak do wszystkich przejawów życia angielskiego, które stały się tradycją.

Wuj Sam powstał poprostu na skutek amerykańskiego dowcipu, który padł w tłumie, zmieniającego litery U. S. (United States) na „Uncle Sam". Były czasy, kiedy Europa, zahipnotyzowana skarbami bogatego wujaszka amerykańskiego, przyczyniła się walnie do popularności tego zawsze uśmiechniętego, szczodrego staruszka. Dziś złośliwość europejskiego wierzyciela nadała poczciwemu Wujowi Samowi wygląd starego skąpca, zagarniającego dla siebie wory ze złotem.

Francuska Marjanna przyszła na świat około r. 1820 po restauracji Bourbonów. W okresie tym tworzyły się na terenie Francji liczne tajne organizacje republikańskie, z których najaktywniejsza nosiła miano „Marianne". Ideały tego stowarzyszenia rozpowszechniły się w całej Francji i zyskały olbrzymie rzesze zwolenników. Gdy w r. 1871 Francja stała się republiką, nadano jej żartobliwe imię: Marjanna. Jak każda kobieta, przechodzi Marjanna przez życie bez zmarszczek i pomimo poważnego wieku jest wciąż młodą, rozbawioną kobietką.

Wiele krajów charakteryzuje się jakąś postacią, personifikuje się je. Ani jednak Michałek niemiecki, ani niedźwiedź rosyjski, czy mandaryn chiński nie zdobyli tej sławy, co wyżej opisane postacie i nie zasłużyli na nieśmiertelność.

WIELKANOCNY DAR PACYFIKU



Kamienne posągi na „Wyspie Wielkanocnej".



Mapka wyspy na Oceanie Spokojnym.

Niedziela Wielkanocna roku 1721 zastała kapitana Jakóba Roggeweena wśród bezmiaru wód południowo-wschodniego Pacyfiku. Z trzema galerami wypłynął on z polecenia holenderskiej Kampanji Zachodnio-Indyjskiej na poszukiwanie „lądu południowego". Niedawne odkrycia Kolumba i Vasco da Gamy wzburzyły umysły i rozpaliły zachłanność. Okręty wszystkich państw przemierzały nieznane morza, chciwie wypatrując nowych lądów i wysp, których złoto możnaby zagarnąć, a ludność podbić.

Taki też był cel morskiej wyprawy Jakóba Roggeweena. Posiadał on plany angielskiego korsarza Davisa, na których było zaznaczone, iż pod 27 stopniem południowej szerokości znajduje się wyspa, o bujnej wegetacji, zamieszkała przez „pogan".

Spokojnie płyną dumne galery holenderskie po lekko zmarszczonej powierzchni morza w słoneczną, ciepłą niedzielę Wielkanocną roku 1721. Nagle słychać głos marynarza z bocianiego gniazda: „ląd na horyzoncie!".

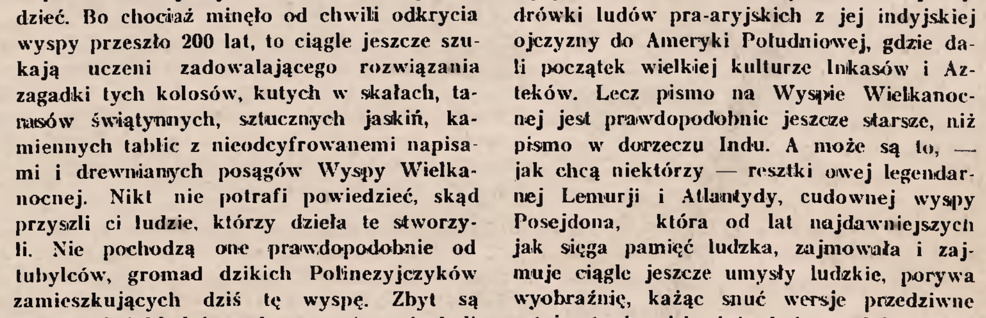
Tak odkryto Wyspę Wielkanocną, owe muzeum Pacyfiku, które nie znalazło jeszcze swego dziejopisa i zachowało swą tajemnicę aż do naszych czasów.

Bazaltowe, strome i wysokie brzegi wyspy wyrastają jak potężne ściany z morza, sterczą jak wyzwanie rzucone oceanowi, opierając się niewzruszenie naporowi spiętrzonych fal, rozpryskujących się bezsilnie u ich stóp. Ta skalna drobina, zagubiona w bezmiarze wód, to ląd najdalej od świata odsunięty. Od wybrzeży Ameryki Południowej dzieli go 4.000 km wodnej pustyni, zaś od najdalej na wschód wysuniętych wysepek Oceanji 3,000 km.

Ale nie to jest przyczyną tego wielkiego zainteresowania, jakie budzi ta wyspa. Jej tajemnicą, — to ślady jakiejś prastarej, wygasłej kultury, bliżej nam nieznanej, które się tu zachowały. Pisze już o tem odkrywca tej wyspy, Jakób Roggeweeen w swoim dzienniku okrętowym. Zamiast kwitnącej zielonej wyspy korsarza Davisa, zamiast złota i skarbów, znalazł jałowe i niegościnne złomy skalne, liczne wygasłe stożki wulkaniczne, kilkaset biednych tubylców, prymitywnie tu wegetujących i jakieś wielkie, dziwaczne pomniki z napisami w nieznanym alfabecie.

A jednak ta Wielkanoc roku 1721 była okresem ważnym. Pierwsi Europejczycy stanęli na kluczowej pozycji kultury oceanicznej, o której początkach i ludziach chętnie chcielibyśmy dziś nieco więcej wiedzieć. Bo chociaż minęło od chwili odkrycia wyspy przeszło 200 lat, to ciągle jeszcze szukają uczeni zadowalającego rozwiązania zagadki tych kolosów, kutych w skałach, tarasów świątynnych, sztucznych jaskiń, kamiennych tablic z nieodcyfrowanemi napisami i drewnianych posągów Wyspy Wielkanocnej. Nikt nie potrafi powiedzieć, skąd przyszli ci ludzie, którzy dzieła te stworzyli. Nie pochodzą one prawdopodobnie od tubylców, gromad dzikich Polinezyjczyków zamieszkujących dziś tę wyspę. Zbyt są solidnie i dokładnie wykonane. A może byli to przybysze z odległego Peru, jak możnaby wnioskować z podobieństwa, jakie dzieła te wykazują z murami w Pachakamak albo z ruinami w Tiakuanaco w Peru? Lecz jakież to były w takim razie przyczyny, które zagnały amerykańskich Indjan na tę samotną wyspę, by tu wznosić olbrzymie posągi,— tych Indjan, którzy, jak wiadomo, nie mieli okrętów a posługiwali się jedynie wywrotnemi pirogami, któremi nie sposób zapuszczać się tak daleko na ocean? Nowsze badania, opierające się na podobieństwie znaków pisma obrazowego tablic i posągów Wyspy Wielkanocnej z pismem archaicznem pierwotnej kultury praindyjskiej, znanego nam z zabytków niedawno odkopanych miast w dolinie Indu, — uważają raczej wyspę tę za jeden z etapów dalekiej wędrówki ludów pra-aryjskich z jej indyjskiej ojczyzny do Ameryki Południowej, gdzie dali początek wielkiej kulturze Inkasów i Azteków. Lecz pismo na Wyspie Wielkanocnej jest prawdopodobnie jeszcze starsze, niż pismo w dorzeczu Indu. A może są to, — jak chcą niektórzy — resztki owej legendarnej Lemurji i Atlantydy, cudownej wyspy Posejdona, która od lat najdawniejszych jak sięga pamięć ludzka, zajmowała i zajmuje ciągle jeszcze umysły ludzkie, porywa wyobraźnię, każąc snuć wersje przedziwne o tej zatopionej krainie, która podobno miała być owym biblijnym rajem, straconym dla ludzkości bezpowrotnie!

Przed iluż to więc zagadkami stawia nas ta wyspa, będąca wielkanocnym podarunkiem Pacyfiku dla ludzkości współczesnej! Zresztą nie odrazu zrozumiano doniosłość tej zagadki. Dla pierwszego jej odkrywcy nie stanowiła ona zaiste godnego równoważnika tylu trudów i niebezpieczeństw dalekiej morskiej wyprawy. W ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat pozostała zapomniana. —



Napis obrazkowy na jednej z tablic drewnianych znalezionych na tajemniczej wyspie.

W roku 1770 Hiszpan Gonzalez z dwoma okrętami wojennemi zarzucił kotwicę przed Wyspą Wielkanocną i wziął ją w posiadanie korony hiszpańskiej. Ale i on nie zastanawiał się nad pochodzeniem i znaczeniem tajemniczych posągów tej wyspy. Cztery lata później wylądował tu słynny podróżnik James Cook. On sam był ciężko chorym na szkorbut, nie mógł więc wyspy tej zwiedzić osobiście. Uczynił to natomiast jego botanik Forster wraz z kilkoma oficerami, przynosząc relację o pustynnym, skalistym charakterze tej wyspy. Dziwaczne posągi „pogańskie" z kamienia i kilka nędznych dzikusów nie były dla ówczesnych umysłów czemś, co mogłoby wydać się godnem zainteresowania. W roku 1888 niegościnną wyspę objęła w posiadanie republika Chile i założyła na niej leprozorjum t. j. przytułek dla trędowatych. I znów o wyspę tę, leżącą zdala od uczęszczanych szlaków morskich, nikt specjalnie się nie troszczył. Po wielkiem trzęsieniu ziemi w r. 1922, które nawiedziło południową część Oceanu Spokojnego, rozeszła się nawet wieść, że wyspa ta zapadła się w morze i przestano się nią wogóle interesować.

Dopiero w roku 1927 zwiedził ją znów prof. Mac M. Brown, amerykański uczony, który przyniósł sensacyjne wiadomości o napotkanych tam kilkuset olbrzymich posągach, pokrytych zagadkowem pismem obrazkowem, o tablicach z twardego drzewa z takiemi samemi napisami, o tarasach i skalnych komorach, wykutych w skale ręką nieznanych ludzi. Bazaltowe posągi wysokości 8 — 10 m. przedstawiając olbrzymie głowy ludzkie, tworzą jakby aleję prowadzącą na szczyt wygasłego wulkanu Rano-Raraku. A co najdziwniejsze, obok posągów znaleziono porzucone jakby w pośpiechu narzędzia pracy, jak noże, świdry i topory ze szkła wulkanicznego (oksydjanu).

Od tej chwili zrozumiano, że Wyspa Wielkanocna ukrywa zagadkę, której rozwiązanie musi mieć dla naszej wiedzy o człowieku i jego kulturze doniosłe znaczenie. Lecz wszystkie wysiłki ludzkiej umiejętności i domyślności nie dały, — jak dotychczas jeszcze — zadowalającego i pełnego rezultatu. I tak od Wielkanocy roku 1721 wyspa ta pozostała zagadką aż do dnia dzisiejszego.

W. Micherdziński.

NAGRODY

NA KONKURS WIELKANOCNY „OSA"

Następujące firmy nadesłały nagrody, które otrzymają laureaci »Konkursu na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny«:

Anastazy Froncz, Kraków, Florjańska 17 — torebka damska.

Gazownia Miejska w Krakowie — żelazko gazowe.

Jakób Gross, Kraków, Rynek 8 i 30 — zastawa szklana »Baccara« marki Zawiercie (31 szt.).

K. & A. Miklaszewski, Kraków — 1 kilogramowa flaszka wody kwiatowej »Namico« i flaszka wody kwiatowej »Habanita« marki Molinard, Paris.

(Dalszy ciąg nagród w następnych numerach).

Nietylko wśród mężczyzn znajdziemy smakoszów...

Smakoszostwo, podniesione do wyżyn sztuki, staje się coraz bardziej nierealną zaletą, wobec nowoczesnej gastronomji, eliminującej dużo składników z obfitej jeszcze do niedawna kuchni „gourmand'ów". Ale nie czas jeszcze dla nich na podzwonne. Restauracje największych stolic świata utrzymują nadal wysoko kult znakomitej kuchni.

We Francji, bardziej niż w innych krajach, zwraca się uwagę na dobrą kuchnię. To też nie zdziwi nas zapewne, że w Paryżu istnieje klub literacki „Le grand perdreau" (Wielka Kuropatwa) utworzony tylko poto, aby sprawiać swym członkom w określonych odstępach czasu znakomite, wystawne obiady, w najlepszych restauracjach.

Dziwnem wydać się może, że z klubu tego wykluczone są kobiety...

Ale panie-literatki poradziły sobie w ten sposób, że poprostu założyły klub konkurencyjny „Les belles Perdrix", do którego znów nie mają wstępu mężczyźni, jak tylko raz na rok i pod określonemi warunkami!

Można być wprowadzonym tylko przez członkinię klubu i tylko raz przez jedną i tę samą, ale zato żona nie może wprowadzić męża! Pozatem ostrzeżenie w klubie kobiecym mówi, że kuropatw kraść nie wolno...

Cel tego klubu określa jasno zasadniczy paragraf jego statutu. „Piękne kuropatwy", które wbrew naturalnym prawom, nie dają się zjadać, ale wolą same dobrze jeść, zgromadzać się będą raz na miesiąc na obiad, przy którym otrzymają godne prawdziwych smakoszów dania i zestawione menu w najbardziej umiejętny sposób. Dalszym celem klubu jest obserwowanie postępów sztuki kulinarnej i wyróżnianie tych zakładów gastronomicznych, które potrafią klub najlepiej obsłużyć! „Les belles Perdrix" nie ukrywają swych nazwisk. Widzimy wśród nich nazwiska we Francji znane, jak Maria Croci, Lucie Delarue-Mardrus, Eve Paul-Margueritte, Aurore Sand (wnuczkę George Sand), Marceline Tinayre, księżnę Murat, znaną współpracowniczkę „Petit Parisien", Andrée Viollis, Blache Vogt i inne.

Działalność klubu ujawniła się także na szerszym terenie. Oto wydano staraniem klubu książkę kucharską, zestawioną przez autorkę Maria Croci. Książka oprócz przepisów kulinarnych różnych narodów i sposobów zestawiania menu, zawiera niezliczone anegdoty o smakoszach świata, jakoteż omawia w sposób bardzo ciekawy stosunek kobiety do gastronomji.

Gdyby zasięgnąć opinji najlepszych współczesnych paryskich kucharzy o zdolnościach kulinarnych kobiet i o ich zmyśle smakoszostwa, odpowiedzą wszyscy negatywnie. Potwierdzałby do pewnego stopnia ich opinję fakt, że nie było dotąd rzeczywiście sławnej światowej kucharki, jakkolwiek o niezliczonych kucharzach pozostała trwała pamięć i... recepty. I dziś ich niema, bo niewiele kobiet mogłoby stanąć do rywalizacji z kucharzami pod względem siły fizycznej, która rzeczywiście w tym zawodzie jest konieczna.

Zapytany w tej sprawie kucharz Ritza, uważa, że kobietom w smakoszostwie przeszkadza jej wysmukła linja! Wszakże każda z pań obawia się dziś wystawniejszego obiadu, również próbowania potraw w domu. Więc jakże może być dziś mowa o znakomitych przedstawicielkach sztuki kulinarnej wśród kobiet?...

Kucharz z Hotelu Meurice, Emil Ripert, uważa panie za takie indywidualistki, że usposobieniu ich odpowiada raczej specjalizowanie się w drobiazgach, niżeli zajęcie się masową produkcją kulinarną.

Michel Bouzy, szef kuchni Prunier, dowodzi, że kobiety zamało dotąd wykazały twórczej inicjatywy w wielkiej kuchni narodów. Ostatecznie — pasztety, torty, ciasteczka, słodkie desery — tem mogą się chlubić niektóre, ale żadna z nich nie wymyśliła dania mięsnego lub rybnego, żadna nie potrafi stworzyć nowego sosu...

Marcel Vérot, bywalec w wielu restauracjach hotelowych, jest zdania, że rola kobiety w sprawach kulinarnych powinna ograniczyć się do obowiązków pani domu. Tu bowiem, gdy chodzi o zdrowe, lecz mało wybredne pożywienie, jest wyrocznią i nikt jej tego stanowiska nie zaprzeczy. Ale więcej nie należy żądać od pań. Gdzie chodzi o wyszukane potrawy i większe menu, ułożone dla „gourmand'ów", niech im służą fachowcy. Na potwierdzenie swych opinij, opowiada Vérot, że wśród swych stałych gości miał jednego, który koniecznie pragnął dać swą kucharkę (i to dobrą kucharkę), na praktykę do Vérot'a. Cóż się okazało? Po ukończeniu mozolnych „studjów", gotowała nie lepiej niż poprzednio...

Mimo wszystko nie trzeba tracić zaufania w kobiece siły. Tyle już czysto „męskich" stanowisk objąć potrafiły z wielkiem powodzeniem, że zapewne i w dziedzinie kuchni dla smakoszów zrównają się kiedyś z najsławniejszymi kucharzami.

Ja w to wierzę. **Ajaks.**



Sztych Abrahama Bosse, przedstawiający ucztujące damy dworu Ludwika XIII

PARAGRAF NA LANCECIE KARYKATURY

Poniżej: Karykatura notarjusza z dzieła „Zwierciadło ludzkiego życia", wyd. w Augsburgu w r. 1479.



— Dlaczego symbol sprawiedliwości, Justycja, ma przewiązane oczy? — By nie widzieć tego, co się naokoło niej dzieje! Oto jeden z licznych złośliwych żartów na temat sprawiedliwości i jej wykonawców, którzy od czasów niepamiętnych zarówno w sztuce, literaturze, jak anegdotach „cieszą" się specjalnymi względami. Sprawiedliwość, ta zasadnicza podstawa dobrego ustroju społecznego, przechodziła w ciągu wieków tyle przemian, poddana była tak licznym fluktuacjom i wpływom, że, niestety, pojęcie to nie pokrywa się dziś z pierwotnym duchem słowa, a symbolizuje raczej technikę wymierzania wyroków.

W miarę powstawania różnych „causes célèbres", zarówno politycznych jak zwykłych — kryminalnych i cywilnych — coraz ostrzej poczęto krytykować sędziów i wogóle prawników, dowodząc na tysiącach przykładów, że co innego jest sprawiedliwość, a co innego prawo. Znane jest niemieckie określenie „Paragraphenreiter", oznaczające człowieka, hołdującego tylko paragrafom, a nie duchowi ustawy. Jeszcze bardziej agresywnie, niż lotne słowo, odnosiły się do człowieka-prawnika satyra i karykatura. Robiąc choćby pobieżny przegląd literatury światowej spotykamy się na każdej karcie z krytyką złych sędziów i prawników-adwokatów, chcących wydobyć z klienta jedynie pieniądze, a nie troszczących się o jego sprawę. Znajdziemy napiętnowanie tej kasty ludzi w „Boskiej Komedji" Dantego, znajdziemy ją w satyrycznych perypetjach „Gargantuy i Pantagruela" — Rabelaisa, występują one nader jaskrawie w dziełach Molière'a, Racine'a, pełno epizodów charakteryzujących prawników odszukać możemy w dziełach Dickensa, Tołstoja i wielu innych autorów. Jeżeli szczególnie Karol Dickens poświęcił dużo uwagi stosunkom, panującym w sądownictwie Anglji, to czynił to ze względów zrozumiałych, gdyż jego własne życie w wielkim stopniu stało pod wpływem tych stosunków. Jak wiadomo istniała w Anglji za długi kara więzienia; najbliższa rodzina autora przez dłuższy czas pozostawała w murach więziennych za długi. W dziełach wielkiego autora na każdej niemal karcie spotykamy się z egzystencją ludzi walczących



Powyżej: „The Bench" Williama Hogartha.



Powyżej: Adwokat paryski Labori, obrońca pani Humbert — karykatura Ch. Léandre'a.



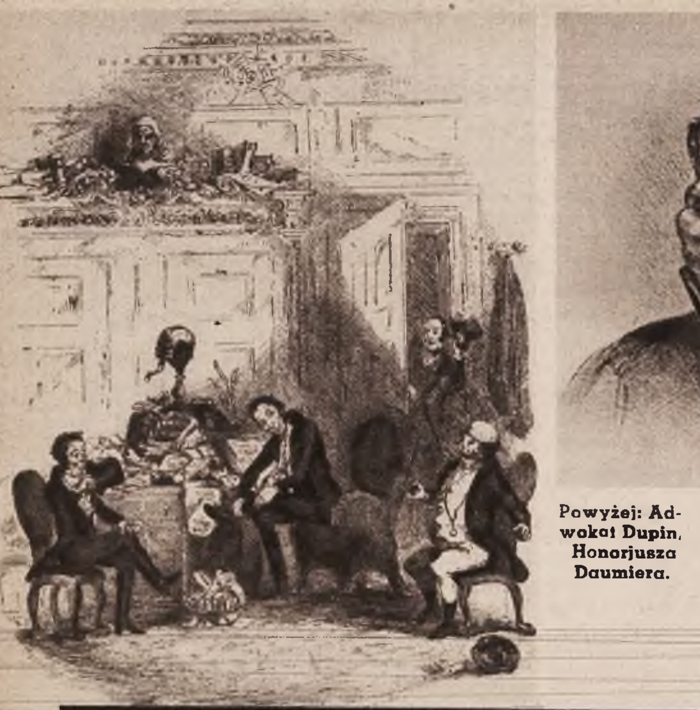
Na lewo: Jedna z plansz „Caprichos" Goyi, chłoszcząca wyzysk adwokatów.

z sądami („Mała Dorrit", „Klub Pickwicka", „Dawid Copperfield"). Z niemniejszą uwagą przyglądał się Honorjusz Balzac światu prawniczemu, opisując go nader dokładnie i przeważnie niepochlebnie w swej „Komedji Ludzkiej". Nikt bodaj nie umiał lepiej odczuć atmosfery sądu, jego kuluarów, jego sal rozpraw, oddać lepiej wężowiska tysięcznych interesów życiowych, krzyżujących się w sądzie i scharakteryzować sędziów jako ludzi, poddanych tym samym słabostkom co i wszyscy inni, jak właśnie autor „Cezara Biroteau".

Zwłaszcza perypetje Lucjana de Rubempré w murach sądowych i więziennych opisane są z niezwykłym realizmem. A czyż Tołstoj, wielki reformator obyczajowy Rosji, nie smagał również ustaw ludzkich biczem swej ironji, opisując np. w „Zmartwychwstaniu" typy sędziów z prokuratorem na czele? Postać starzejącego się człowieka, zajętego swemi własnemi sprawami i o całe niebo oddalonego od procesu Masłowej, którym miał się zająć, jest również jednym z najlepszych typów literatury światowej.

Rzecz prosta, że i pamiętnikarze wszelkich czasów nie szczędzili uszczypliwych uwag na temat adwokatów i sędziów. Sięgając do naszej choćby tylko literatury, znajdziemy w pamiętnikach kasztelana Marcina Matuszewicza niezwykle ciekawy i przykry obraz panujących u nas stosunków sądowych. W Polsce były dwie drogi, któremi dochodziło się do władzy, znaczenia i majątku: służba publiczna i wojskowa oraz palestra. Droga palestry wymagała przeważnie szczególnych „zalet" umysłu, sprytu i orjentacji w obchodzeniu przepisów. Wiele procesów wygrywano jedynie dzięki protekcji i różnym „kruczkom". Typ „kauzyperdy" był niezwykle w Polsce „popularny", a samo słowo wybitnie obraźliwe. W sposób bardzo barwny i ciekawy opisują nam te stosunki „Pamiętniki Kwestarza" Ig. Chodźki i „Wspomnienia Seweryna Soplicy", Henryka Rzewuskiego.

Ale wszystkie te krytyki i napaści literatury na ludzi uczonych w prawie niczem nie są wobec ich konterfektu pozostawionego nam przez karykaturzystów. Już od XV wieku spotykamy coraz to liczniejsze karykatury niemieckie na sędziów i sądy, a zwłaszcza liczne obrazy nazwane „tańcami śmierci", przedstawiają udręczenia ludzkie, wśród których nie brak i procedury sądowej. Nawet taki wielki artysta, jak Holbein nie omieszkał przypiąć łatki ludziom prawa. Znany wiedeński kaznodzieja Abraham a



Powyżej: W gabinecie prawnika — ilustracja Phiza do „The Pickwick Papers" 1837



Powyżej: Adwokat Dupin, Honorjusza Daumiera.

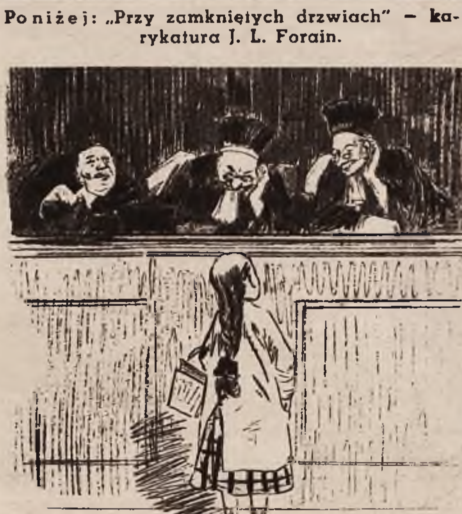


Na prawo: „Sprawiedliwość" — rysunek K. Frycza „(Liberum Veto" 1904).



Powyżej: „Ręka sprawiedliwości" — rysunek K. Sichulskiego („Liberum Veto" 1904).

Poniżej: „Przy zamkniętych drzwiach" — karykatura J. L. Forain.



Sancta Clara (XVII w.) zajmuje się w jednem z swych dzieł moralizatorskich sędziami i adwokatami a ilustruje je Jan Luyken, Holender. W XVII w. również holenderscy artyści zajmują się tym tematem. Pieter de Bloot, Cornelis Saftleven Cornelis Troost.

Wielkim karykaturzystą w najgłębszem tego słowa znaczeniu, karykaturzystą-filozofem jest bezwątpienia Anglik, William Hogarth. Jego cykl „Modne małżeństwo" ukazuje nam ciemne strony życia XVIII w. i zahacza, rzecz prosta, również o palestrę. — W jednym z obrazów tego cyklu zatytułowanym „The Bench" („ławka" tj. sąd), Hogarth portretuje niektórych znanych sędziów ówczesnych, a m. in. sir Johna Wiles'a, sir Edwarda Clive'a, Earl'a Bathurst. Jak widzimy sędziowie ci bardzo mało uwagi poświęcają procesowi, a znacznie więcej swym osobistym sprawom. Nie brak też innych Anglików karykaturzystów, poświęcających swój cięty ołówek satyrze na świat prawniczy. Takim był przedewszystkiem John Kay, następnie Tomasz Bewick („Select Fables" 1784), Tomasz Rowlandson, oraz Robert Cruikshank. Brat jego, George jest również zapamiętałym nieprzyjacielem palestry i sędziów, podobnie jak Phiz, ilustrator wielu dzieł Dickensa. Technika rysunku tego ostatniego jest nadwyraz subtelna, a rysunki tak dziwnie harmonizują z tonem panującym w dziełach Dickensa, że stanowią z nimi nierozerwalną całość. Oczywiście, że w szeregach ludzi, którzy widzieli bolączki tak ważnej instytucji, jaką jest sąd, nie brakło wiecznego rewolucjonisty i Don Kiszota sprawiedliwości — Goyi. Jak zwykle tak i tu obrał on swoiście makabryczny pomysł. Wśród swych „Caprichos" przedstawił na jednej z kart kobietę o kształtach ptaka, którą obdzierają ze skóry adwokaci, podczas gdy sędzia o psiej głowie przygląda się majestatycznie całemu zajściu. Symbolizuje ona oczywiście klienta!

Poza temi nazwiskami trzeba wymienić licznych Francuzów, jak J. J. Granville'a, Gustawa Doré, André Gill i in., ale jedyne w swoim rodzaju miejsce zajmuje tu Honoré Daumier. Identyczny co do imienia z Balzakiem, Daumier jest też niejako wyrazicielem artystycznym myśli wielkiego powieściopisarza. Bohaterowie jego są bezkonkurencyjni, gdyż są prawdziwi i nieraz należy się zastanowić, czy dany rysunek jest karykaturą, czy poprostu wiernym portretem życia. Jego adwokat Dupin jest tak prawdziwy, choć monstrualny, że ma się wrażenie, iż twarz tę już nieraz spokaliśmy na naszej drodze. Podpatruje swych „bohaterów" w chwilach kiedy pełni są patosu, kiedy operując wytartemi, ale zawsze skutecznemi frazesami żargonu sądowego, zdają się spełniać jakąś doniosłą czynność społeczną. Chociaż Daumier nie był ilustratorem Balzaca to jednak i tu, podobnie jak Phiz i Dickens, obaj artyści dziwnie się dopełniając. Cała galerja prawników, prokuratorów, sędziów, pokątnych doradców, adwokatów przewija się pzed naszymi oczami. Jedni poważni, nadęci, dumni, drudzy złośliwie uśmiechnięci, trzeci wkońcu pozujący na zbawców ludzkości.

Karykatura francuska i angielska nie straciła swego moralizatorskiego charakteru aż do ostatnich czasów, gdyż nadal spotykamy wielkie nazwiska artystów na łamach pism humorystycznych. Francuskie „Assiette au Beurre", angielski „Punch", zamieszczały kapitalne nieraz w pomyśle i wykonaniu karykatury Charles'a Keene, E. T. Reed'a, Adolfa Willette, Caran d'Ache'a, J. E. Forain itd. Zwłaszcza ten ostatni odznaczał się subtelnością i trafnością rysunku, a tematem jego to różne socjalne niesprawiedliwości. Przypomina on nieraz Ropsa, tylko jest mniej brutalny. Ale nie brakło też naówczas wielkich procesów, w których ciemne strony sądownictwa mogły wyjść poza mury sądu. Były to czasy procesu Dreyfussa, madame Humbert, słynnej hochsztaplerki paryskiej, (Ch. Léandre), a trochę później nadarzył się i niemieckim karykaturzystom wspaniały temat w postaci osławionego procesu księcia Eulenburga, oraz licznych procesów o obrazę majestatu Wilhelma II. W dziedzinie tej zyskał duże imię „nadworny" rysownik „Simplizissimusa" T. T. Heine i Ed. Thöny. Zupełne swoisty styl wyrobił sobie makabryczny Ensor oraz parodystyczny Bateman.

Należałoby wspomnieć też o polskich karykaturzystach, którzy zajmowali się sądownictwem. Niestety dorobek nasz w tej dziedzinie jest dość ubogi, większość bowiem karykaturzystów pozostawiła portrety karykaturystyczne, nie zaś ogólnie ujęte obrazy. Rozsiane à propos pewnych wydarzeń procesowych po pismach rysunki trudno zgromadzić i zinwentaryzować. Niejeden prawnik dostał się za Królestwa Kongresowego pod ołówek Jakóba Sokołowskiego, niejeden też był modelem dla Franciszka Kostrzewskiego. Znamy też karykatury Frycza, Sichulskiego z „Liberum Veto". W ostatnich czasach karykaturzyści Jotes, Bickels i inni stworzyli nieźle karykatury znanych sędziów i adwokatów z okazji znanych procesów. A procesów tych w ostatnich 30 latach nie brakło na ziemiach polskich: sprawa Kwileckiego, Bogdana Ronikiera, Beylisa, Bispinga, Macocha, Gorgonowej, Ciunkiewiczowej...

I tak od wieków na marginesie poważnych, oficjalnych aktów sądowych powstają ich komentarze w postaci małych, złośliwych rysunków, które pozostają w pamięci ludzi, podczas gdy tamte rozpadły się w proch. Jest to odwieczna walka poglądu „quod non in actis non in vita" z realnem życiem!

Jan Maleszewski.

Poniżej: „Dysputa adwokacka" — karykatura Honorjusza Daumiera.





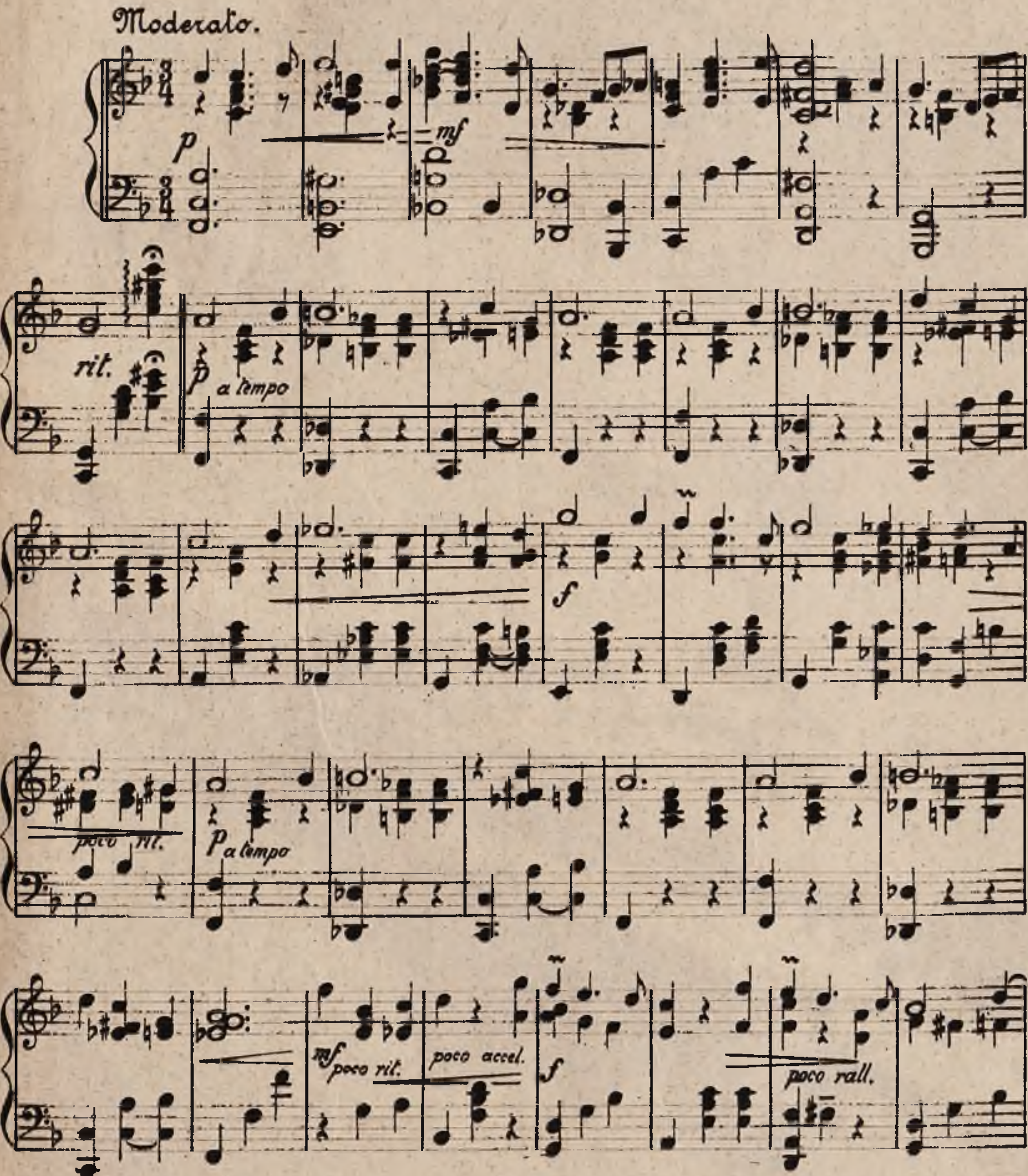
SPOJRZENIE Z GOTYCKIEJ WIEŻY
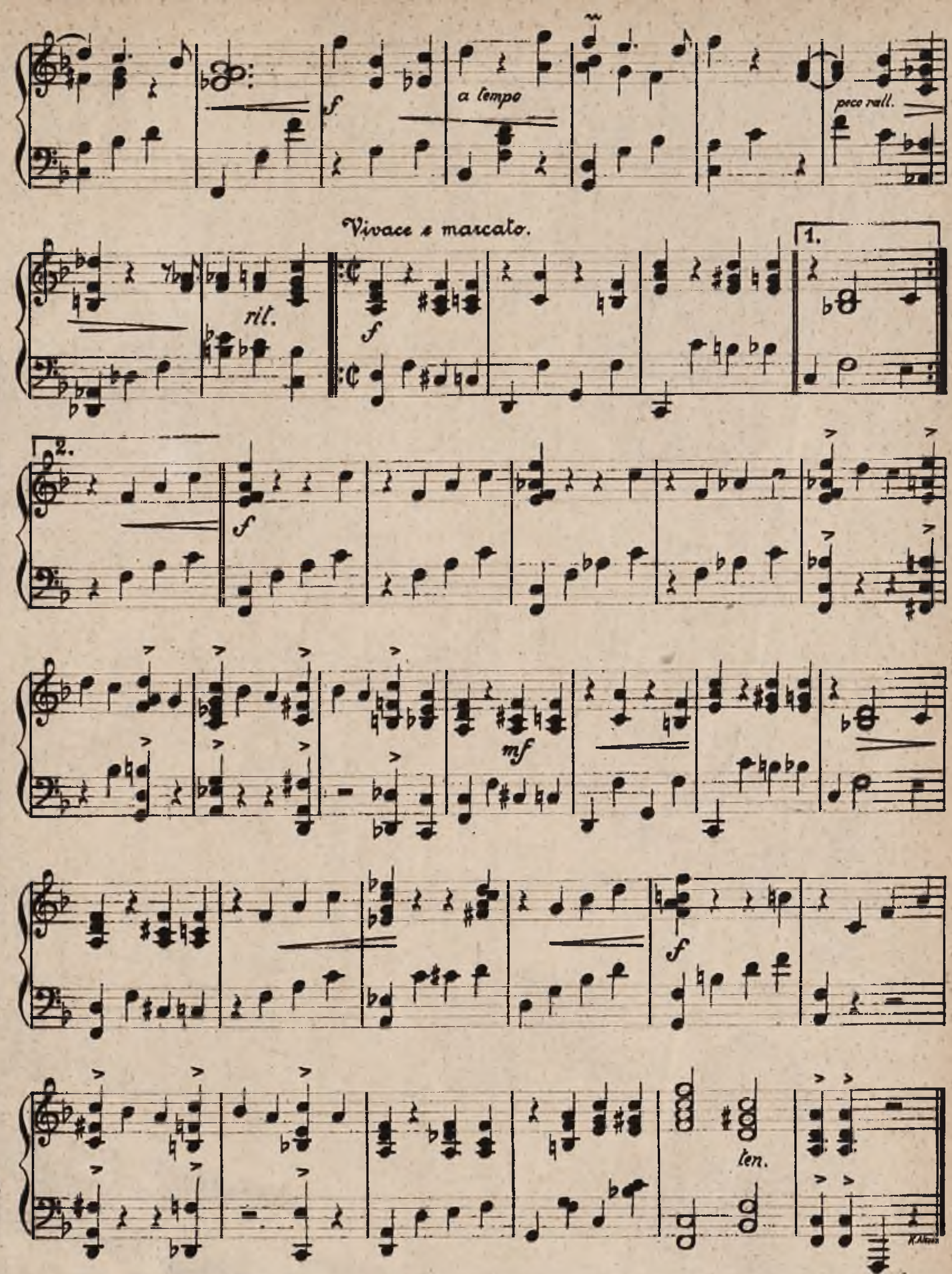
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

AMERICANA

COCKTAIL TANECZNY

JULJUSZ LEO (1936)





WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE



WANDA SKURCZYŃSKA

La MADRUGADA

NOWELA

Młodego Miguela Castro Pereirę przywieziono z pod Malagi w stanie prawie że beznadziejnym. Postrzał przez płuca, jaki otrzymał w czasie walk przy zdobyciu miasta, stał się powodem silnego krwotoku, który pozbawił go sił i rzucił na łoże boleści, w objęcia prawie nieuchronnej śmierci.

Po długiej gorączce zdało się jednak, że stan rannego zaczyna się poprawiać i że można go będzie w najbliższym czasie odesłać na tyły, do Sewilli, gdzie przebywa rodzina młodzieńca. Minął miesiąc i chory odzyskał siły na tyle, że lekarze szpitala zgodzili się na powrót jego do domu, jako rekonwalescenta. Z początkiem marca znalazł się zatem Miguel Pereira w dawnem swem mieszkaniu przy Calle Sierpes, gdzie matka i siostra otoczyły go najczulszą opieką.

Przebyte trudy i cierpienia wydawały się teraz młodemu żołnierzowi jakby snem, z którego trudno mu było się otrząsnąć. Spokój i cisza starego miasta, pozostające w dziwnym kontraście z hukiem armat i grzechotem karabinów maszynowych, do których przywykło jego ucho w ciągu spędzonych w polu miesięcy, niepokoiły go czasami i przyprawiały o stan niewytłumaczonego lęku. Miał wtedy wrażenie, że mimo wszystko życie jego jest cieniem dawnej beztroskiej egzystencji i że on sam gra rolę jakby lunatyka, stąpającego na pograniczu między złudzeniem i rzeczywistością. Poddawał się chętnie zleceniom lekarzy, dziękował ze wzruszeniem za opiekę rodzinie, ale wszelkie starania koło jego osoby były mu właściwie obojętne tak, jakby uważał się za nienależącego do tego świata.

Bywało, że przesiadywał całemi godzinami przy oknie, spoglądając na ulicę. To znów trwał w milczeniu, pogrążony w głębokiej zadumie. Przed oczyma jego duszy stawali wówczas przyjaciele i towarzysze, z którymi wyruszył w pole i którzy padli w ciągu długich miesięcy walk bratobójczych. Dusza jego wyrywała się ku nim, a serce ściskało się z bólu na myśl, że nie zobaczy ich już nigdy.

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Wojna domowa, dzieląca kraj na dwa wrogie obozy, wycisnęła swoje piętno na Sewilli, która o tej porze zwykła budzić się do życia, a która teraz, przybrana w żałobne szaty, daleką była od barwnych pochodów i uroczystości Świętego Tygodnia. W chwili, kiedy barbarzyńskie hordy na wschodzie kraju mordowały księży i zakonników, nie czas było głosić triumf Boga i religji w procesjach i nabożeństwach uroczystych, nie czas dziękować w okolicznościowych pieśniach za otrzymane dobrodziejstwa. Cała Hiszpanja tonęła we krwi, przyszłość zakryta była jeszcze przed oczyma śmiertelników, mieszkańcy żyli dotąd w ciągłej obawie o los najbliższych. Święty Tydzień roku tego upłynąć miał w zupełnej ciszy. Zamiast modlących się na ulicach wiernych, zamiast przybranych w średniowieczne stroje pątnicze członków najrozmaitszych bractw kościelnych, mieszkańcy Sewilli oglądać mieli tylko roty strzelców marokańskich, grupy zdążających na front falangistów i kompanje wcielonych do wojska ochotników.

Wspomnienia świąt Wielkiej Nocy i związanych z niemi uroczystości ludowych przyprawiały Miguela o dziwne wzruszenie. Jakżeż to już dawno było! I czy jeszcze kiedyś powrócą te czasy? Czy przyjdzie czas, że na ulice wyjdą znów rzesze wiernych, aby w pieśniach, pełnych miłości złożyć hołd Zbawicielowi świata? I czy zamiast skarg i zawodzeń po stracie ukochanych rozbrzmiewać tu będą znowu radosne okrzyki tłumu?!

Nadeszła noc Wielkiego Piątku. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat miasto, zamiast wziąć udział w uroczystościach procesji przed świtem, udało się na spoczynek. Na opustoszałych ulicach pełniły straż patrole wojsk, stacjonowanych w Sewilli i posterunki miejskiej milicji. Ale ludność cywilna, posłuszna rozporządzeniom władz, wróciła dawno do domów i ułożyła się do snu.

Musiało być już późno w nocy, kiedy Miguel Pereira ocknął się i usiadł na łóżku, nadsłuchując. Pokój, w którym sypiał, tonął w ciemnościach i tylko w pobliżu okna widniały smugi światła, rzucanego przez palącą się na ulicy lampę.

Przez kilka minut młodzieniec zachodził w głowę, co mogło zbudzić go ze snu i dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że przyczyną tego był jakiś dziwny szmer, przypominający tupot nóg, okutych w sandały. Słuch go nie mylił. Było to wyraźne przesuwanie drewnianych sandałów po bruku, charakterystyczny odgłos miarowych kroków na ulicy. Na białem tle ściany domu, leżącego po drugiej stronie jezdni, zaznaczyły się ruchome cienie ludzkich postaci, niknące i zjawiające się w miarę, jak zmieniało się nasilenie światła. Oddział żołnierzy przechodzi ulicą w stronę dworca — pomyślał Pareira. — A może przybył nowy transport jeńców? — Nie słysząc jednak szczęku broni, wyskoczył z łóżka, włożył buty i podszedł do okna.

Wąską ulicą zdążały od strony katedry długie szeregi pątników w charakterystycznych średniowiecznych strojach brackich. Czarne habity, sięgające po kostki i kapuzy z otworami na oczy nie pozwalały określić kształtów kroczących w milczeniu postaci. Każda z nich trzymała w ręce płonącą świecę woskową i każda obuta była w sandały, jak nakazywał dawny zwyczaj. Ale rzecz cie-



...ocknął się i usiadł na łóżku... ILUSTR. CHARLIE

CHARLIE

kawa, wszyscy ci ludzie przepasani byli nie grubemi sznurami, jak członkowie znanych w Sewilli bractw kościelnych, tylko szerokiemi, skórzanemi pasami żołnierskiemi. Szli wolnym krokiem, nie oglądając się za siebie i nie zwracając uwagi na otoczenie. Miguel stwierdził, wychyliwszy się z okna, że pochód zdąża, jak w czasie wielkanocnych procesyj, za wielką figurą Chrystusa, upadającego pod krzyżem. Figura ta górowała nad idącymi w milczeniu pątnikami, a wznoszący się nad nią krzyż urastał w świetle ulicznych lamp i dziesiątek zapalonych świec tajemniczego bractwa do olbrzymich rozmiarów. Było coś w całej tej procesji, co wydało się młodemu Miguelowi niesamowitem. Zdjęty ciekawością, wdział pospiesznie ubranie, narzucił na siebie płaszcz żołnierski i nic nie mówiąc nikomu, wymknął się na ulicę. Od katedry napływały wciąż rzesze pątników, które w dwóch długich kolumnach kroczyły w zbożnem skupieniu ku nieznanemu celowi. Miguel przyłączył się do nich, zajmując miejsce w jednym z szeregów.

Pochód szedł w stronę La Campana, jak w czasie dorocznej wielkopostnej procesji. Należało spodziewać się, że skręci potem w ulicę Alfonsa XIII i podąży do jednego z wielkich kościołów na peryferjach miasta. Ku wielkiemu zdziwieniu Miguela procesja obrała jednak inny kierunek i zwróciła się ku północy, dążąc przez wąskie uliczki na przedmieścia. Światło było tu gorsze, budynki mniej okazałe, fasady domów świadczące o ubóstwie właścicieli.

W pewnej chwili Miguel zdał sobie sprawę, że znajduje się w zupełnie nieznanej dzielnicy i to w znacznej odległości od domu. Zaniepokojony i przerażony, zwrócił się do idącego za nim pątnika, pytając, gdzie zdąża procesja. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Pątnik, idący przed nim, pominął także milczeniem jego zapytanie. Miguelowi nie pozostało nic innego, jak czekać, aż nadarzy się sposobność zasięgnięcia informacyj. Ale od kogo? Rozglądał się dokoła, bezradny. Uczestnicy pochodu kroczyli w milczeniu, nie zdradzając ochoty do nawiązania rozmowy. I teraz dopiero uwagę Miguela zwrócił pewien szczegół, dający dużo do myślenia. W procesji nie brała udziału żadna kobieta i w skład jej wchodzili, jak się zdawało, wyłącznie, przybrani w habity i kapuzy brackie, mężczyźni.

Szli tak godzinę lub więcej i dotąd nie było widać kresu ich wędrówki. Mijali ulicę za ulicą, dzielnicę za dzielnicą, zapuszczali się w jakieś zaułki, otoczone staremi murami i nawpół zrujnowanemi budynkami, przechodzili przez puste place i ogrody i znów krążyli między domami. Latarń było tu coraz mniej, wkońcu jedynie płomyki świec tajemniczych pątników rozpraszały gęste ciemności. Miguel upadał ze znużenia, ale szedł z innymi, jakby ulegając wewnętrznemu nakazowi. Niepokój, który nękał go jeszcze niedawno, ustąpił miejsca uczuciu zupełnej rezygnacji. Czekał końca procesji nie dlatego, żeby spieszyło mu się do domu, ale ponieważ chciał wiedzieć, dokąd zmierza cały ten pochód.

Wyszli na duży plac, na którym zebrały się tłumy ludzi. Miguelowi wydało się, że były ich tam setki i tysiące. Pątnicy ustawili się w szeregi, wpatrzeni w olbrzymi Krzyż Męki Pańskiej, który teraz zajaśniał dziwnym blaskiem.

— Otośmy przybyli! — usłyszał nagle Pereira głos znajomy. Odwrócił się. Był to pątnik, którego niedawno pytał o drogę powrotną. I w tej chwili przypomniał sobie, że głos taki miał jego serdeczny przyjaciel i rówieśnik, Pepe, który zginął przed kilku miesiącami w czasie pochodu na Toledo.

— Nie mylisz się — rzekł pątnik, jakby odpowiadając na jego pytanie. — To ja, Pepe. Cieszę się, że jesteś z nami...

— Tak... Myśmy tu sami swoi — odezwał się inny głos poza plecami młodzieńca. — Pamiętasz mnie jeszcze, Miguel? Pamiętasz Juana Cerverę?

Jakżeż nie miał pamiętać?! Bohaterska śmierć dwudziestodwuletniego Cervery nie była przypadkiem, o którym mógłby zapomnieć żołnierz szesnastego pułku.

— Jest tu Czarny Henricio — mówił dalej głos Cervery. — Jest Rodriguez, zwany Laleczką, de Sierra, który uciekł z domu opiekunów, Nunez, Storilla, Vili i jego brat, stary Peria z synami tylu, tylu innych. Cała nasza Falanga. Pamiętasz?...

Miguel pamiętał ich dobrze, ale pamiętał i to także, że wszyscy wymienieni przez Cerverę zginęli w czasie wojny domowej na najrozmaitszych polach bitew, niejednokrotnie w jego oczach. I że zarówno Cervera, jak jasnowłosy Pepe, przeszli już dawno między cienie. Nie miał jednak czasu na rozmyślanie, gdyż uwagę jego zwróciła nagle Postać pod Krzyżem, który niesiono na czele pochodu. Niesiono? Przypatrzywszy się dokładniej, spostrzegł, że nie była to, jak mu się zdawało, martwa figura Umęczonego Zbawiciela, oświetlona szeregiem płonących świec. Nie!!! Postać ta była sama Blaskiem i Jasnością. Krzyż, który dźwigała, upadając pod jego ciężarem, wznosił się teraz ponad szeregami pątników w złocistej aureoli, jak symbol Potęgi i Zwycięstwa. I teraz ujrzał Miguel, że przybrani w habity pątnicy uklękli, wyciągając ręce w stronę Krzyża. Pod nim samym ugięły się kolana. Pochylił głowę, nie mogąc patrzeć w jaśniejące nieziemskim blaskiem oblicze Postaci, która spoglądała na tłum wiernych kochającemi oczami Chrystusa. A do uszu jego doszedł głos, cichy i łagodny, ale posiadający moc niespożytą i przenikający w głąb duszy:

„Iżeście złożyli w ofierze życie swoje, aby dać świadectwo waszej miłości Boga i ojczyzny, policzone wam to będzie tam, gdzie istnieje prawdziwa wartość i gdzie niema miejsca na fałsz i obłudę. Pójdźcie za mną w Krainę Światła!..."

I zdawało się Miguelowi, że na pustym placu wszczął się wielki ruch, jakby otaczające go rzesze pątników zaczęły gotować się do dalszego pochodu. Podniósł oczy i ujrzał, że nieziemsko piękna Postać Przewodnika tej procesji umarłych rozpływa się w srebrzystej poświacie. Równocześnie zaczęły niknąć mu z przed oczu szeregi przybranych w czarne habity i kapuzy pątników, gasnąć, jedna za drugą, płonące dotąd w ich trupich rękach świece, zacierać się stopniowo kontury stojących tuż obok niego zmarłych przyjaciół żołnierzy. Mrok gęstniał i cienie nocy spowiły teraz duszę Pereiry....

— — — — — — — —

Znaleziono go przy oknie sypialni, drżącego z zimna i wzruszenia. Przeniesiony na łóżko, robił przez długi czas wrażenie nieprzytomnego. Majaczył o procesji, o zmarłych kolegach i rówieśnikach, wspominał o przygotowaniu się do jakiegoś pochodu. A kiedy się ocknął, mówił już tylko o śmierci. Przeczucie to nie omyliło go. Przyszła recydywa zapalenia płuc, a z nią koniec. I kiedy na Wielkanoc dzwony Giraldy oznajmiły mieszkańcom miasta o święcie Zmartwychwstania, kiedy w kościołach odezwały się pieśni, głoszące triumf Boga nad Śmiercią, Miguel Castro Pereira udał się w dalszą wędrówkę do krainy Światła, jako ostatni uczestnik procesji zmarłych żołnierzy, która w noc Wielkiego Piątku przeszła przez opustoszałe ulice Sewilli, kryjąc rany odniesione w bratobójczych walkach pod czarnemi habitami pątników.

——oOo——


Tak
niespodziewanie
może zapaść każdy na postrzał. Każdy musi sobie w takim wypadku zapamiętać prostą radę:
Weź poprostu
ASPIRIN
BAYER
Produkt zaufania
Preparat wyrabiany w kraju.


NA ŚWIĘTA
kupują wszyscy
OBUWIE i POŃCZOCHY
Del-Ha
TANIE — TRWAŁE
WYGODNE
Olbrzymi wybór najnowszych modeli na sezon wiosenny i letni.
Do nabycia we wszystkich filiach.

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Biało-bronzową kombinację powinno się nosić tylko nad morzem...



Obuwie, noszone w lecie, narażone jest na zgubny wpływ promieni słonecznych, które powodują przy złej konserwacji wysychanie i szybkie pękanie skóry. Przyczynia się do tego również wzmożona transpiracja ciała i brak izolacji w postaci grubszych pończoch czy skarpetek. Wszystko to skłania nas do starannej pielęgnacji bucików noszonych w lecie, które należy często czyścić specjalną pastą, konserwującą skórę przez dodanie jej odpowiedniej ilości tłuszczu.

Niemniej ważnym jest wybór odpowiedniego materjału i fasonu. Jak widzimy na zamieszczonych poniżej ilustracjach, w grę wchodzą przedewszystkiem cienkie skóry juchtowe (do ubrań sportowych) i boksowe do codziennego użytku. W dnie upalne i pogodne zdobywają sobie prawo obywatelstwa lekkie półbuciki z płótna, kombinowanego z boksem. Nad morzem noszone są chętnie analogiczne kombinacje, przyczem jednak fason ich jest odmienny, a płótno (lub zamsz) z zasady utrzymane w kolorze białym. W mieście zauważamy coraz częściej półbuciki, perforowane w różne desenie, co umożliwia łatwiejszą transpirację skóry.

Brummell.

„Szkotg", wykonane z cienkiego juchtu, lub zamszu nadają się najlepiej do ubrań sportowych.



Półbuciki z płótna (fason „Derby"), kombinowane z bronzowym boksem, nosić można w lecie tylko w dnie pogodne...



Perforowane obuwie z cienkiego boksu jest chłodne i niezwykle higjeniczne w użyciu.



WIOSENNA REWJA MODELI FIRMY LEON BRACIEJOWSKI



Jeden z wiosennych modeli firmy L. Braciejowski.

Pokazy modeli w wielkich magazynach stanowią właściwe rozpoczęcie nowego sezonu mody, ukazując nam niejako w skrócie jej styl i linję, jej charakter kolorystyczny i jej przebojowe inowacje w dziedzinie szczegółów. Nic też dziwnego, że oczekiwane są w napięciu przez piękne panie, jako najdokładniejsza odpowiedź na emocjonujące pytanie: „Co jest w tym roku modne? Co będziemy nosić?"

Wiosenna rewja mody w salonach Firmy Leon Braciejowski przy ul. Florjańskiej 28, spełniła to swoje zadanie w sposób wyczerpujący i przekonywujący. Przed oczami zgromadzonej licznie publiczności, pośród której zauważyliśmy szereg reprezentantek najlepszych sfer towarzyskich Krakowa — przesunęły się kolekcje tualet najrozmaitszych typów, począwszy od strojnych porannych negliżów i skromnych a szykownych spacerowych kostjumów i kompletów, aż po wytworne tualety popołudniowe i wieczorowe, przeznaczone na garden-party lub letnie dancingi w modnem kąpielisku czy na uczęszczanej plaży. W bogato reprezentowanym dziale płaszczy pokazano nam kilka rodzajów tak modnych w tym roku okryć w typie „redingote", lekko wciętych w pasie a kloszowych u dołu, z ciekawie wypracowaną linją pleców, ozdobionych kontrafałdami, oryginalnego kształtu dragonikami lub drobniutkiemi zakładkami. Wśród okryć popołudniowych, przeważnie czarnych lub granatowych, ujrzeliśmy fantazyjne płaszcze, pozbawione kołnierza, lub też przeciwnie ozdobione kołnierzem dużym o oryginalnym kroju. Ciekawą inowacją były płaszczyki z jedwabiów „imprimé", noszone do gładkich, jednobarwnych, ciemniejszych sukien. W dwu i trzyczęściowych kompletach ujrzeliśmy po raz pierwszy lansowane przez Paryż śmiałe i nowe zestawienia kilku kontrastowych kolorów, wśród których kombinacja kolorów „koronacyjnych" — szafirowego z pąsowym — specjalnie się wyróżniała. Praktyczne a eleganckie zestawienie jasnych, barwnych lub w szkocką kratę żakietów do gładkich spódnic lub sukien dają pole do niewyczerpanych kombinacyj kolorystycznych. Materjały „imprimé" odgrywają w tegorocznej kolekcji dominującą rolę, przyczem suknie wzorzyste wykończone są często gładkiemi ciemnemi plisami, zaś bluzki o barwnych wzorach kwiatowych uzupełniają nierzadko kostjumy w kraty lub pasy. W spacerowych sukniach typu „robe-manteau" widzieliśmy krótkie bolerka, efektowne dwubarwne paski, szarfy z jedwabiu w barwne pasy lub kraty, z licznemi guzikami, często w rozmaitych kolorach. Prawie wszystkie modele uzupełniały pęki lekkich, barwnych kwiatów, przypiętych przy wycięciu, w klapie żakietu lub przy pasku. Wśród sukien, przeznaczonych na garden-party, wyróżniał się oryginalny model z popielatego w lekką kratę organdi na tle różowego taftowego spodu.

Pokaz urozmaicała dowcipna konferansjerka, komentując defiladę uroczych modelek. W przerwach częstowano przybyłe panie papierosami i słodyczami. Całość rewji wypadła niezwykle efektownie i ładnie.

Lady Like.

DANIELLE DARRIEUX



Któż, będąc na filmie „Mayerling“, nie zachwycał się prześliczną Vetserą w osobie Danielle Darrieux? Młoda ta artystka w roli nieszczęśliwej kochanki Rudolfa, stworzyła niezapomnianą kreację. Jej Vetsera porywała urokiem młodości, czarowała klasyczną urodą, głęboka i szczera wzruszała do łez. Nic też dziwnego, że już ten pierwszy film postawił Danielle Darrieux w rzędzie czołowych gwiazd ekranu francuskiego.

Po „Mayerlingu“ przyszła kolej na „Klub kobiet“, „Port Arthura“, w którym artystka stwarza świetną postać Japonki a wreszcie „Nicponia“. Piękna, pełna wdzięku i nieprzeciętnych zdolności Danielle staje się ulubienicą bywalców kina a w pierwszym rzędzie Paryża, który, jak żadne inne miasto, posiada w wysokim stopniu rozwinięty prawdziwy kult dla wszelakiej sztuki i jej przedstawicieli.

Młodziutka a już tak głośna gwiazda filmowa staje się ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Sypią się wywiady, ukoronowaniem których był wywiad artystki... ze samą sobą! Okazuje się, że piękna Danielle jest zarazem dowcipną osóbką o ciętym języczku, która doskonale daje sobie radę z ploteczkami szeptanemi na ucho przez „wtajemniczonych“ w intymne życie gwiazdy:

— „Opowiadają o mnie, że jestem nerwowa. To fałsz! — oburza się w owym wywiadzie Danielle. — Nie jestem nerwowa, jestem skończoną neuropatką! Symptomy mej choroby są niezliczone: newralgia, bezsenność, depresja mentalna, brak apetytu, zanik pamięci, lęk przestrzeni, drżączka...

— Inni twierdzą, że jestem narkomanką. To nareszcie prawda. Ale sama kokaina mi nie wystarcza. Dodaję do niej opium i to w tabletkach. To wszystko moja kucharka, autentyczna Senegalka, uciera z jajami i z serem i przyrządza wspaniały suflet, który cudownie smakuje na gorąco. Coś pysznego, radzę wam, spróbujcie!

— Któryś znów z dziennikarzy powiedział: „— Danielle pije, jak kozak“. To znowu fałsz wierutny. Piję bowiem jak dziesięciu kozaków i to czysty spirytus. Budzę się o północy i „trąbię“ wprost z butelki. Ach, jak to człowieka odświeża i odmładza!

— Zaś dla utrzymania linji aplikuję sobie codzienie przed śniadaniem pięć wściekłych cocktailów a w przerwach podczas zdjęć zapijam się winem, co, jak wiadomo, doskonale działa na wątróbkę no i na wieczór kilkanaście kieliszków przedwojennej mandarynki z grenadynką.

— Czy palę? — Naturalnie! Słyszeliście o 80 papierosach dziennie. Nie zaprzeczam. Ale zapomnieliście moi państwo o fajce, którą ćmię cały dzionek, niczem stary marynarz. Phy! Fajkę zaczęłam palić już jakieś trzydzieści lat temu, zaraz po sprawie Dreifussa.

— A jesteście ciekawi, co myślę o pani Simpson? Otóż nic nie myślę. Myślę jedynie o tym, który był królem. C'est tout!“

Tak dowcipnie załatwiła się Danielle z ploteczkami. A że Paryżanie cenią sobie w wysokim stopniu humor, więc ten wesoły wywiad zyskał pięknej artystce jeszcze większą popularność.

Sympatja, jaką Danielle Darrieux cieszy się i w Polsce, wzrośnie zapewne w dwójnasób na wiadomość, że jest ona po swej matce, z domu Witkowskiej, naszą rodaczką. Przy każdej sposobności podkreśla artystka swe polskie pochodzenie, twierdząc, że ma dwie ojczyzny: Polskę i Francję.

Podczas wizyty, którą imieniem „Asa“ składam pięknej artystce w jej luksusowo urządzonym paryskim apartamencie, toczy się żywa rozmowa na temat kraju jej matki. Danielle rozpytuje się ciekawie o wszystko. Jest niemniej piękna w życiu jak na ekranie. Ma cudne, puszyste, o naturalnym odcieniu blond włosy, duże, pełne wyrazu niebiesko-szare oczy i olśniewające zęby. Zgrabna i smukła.

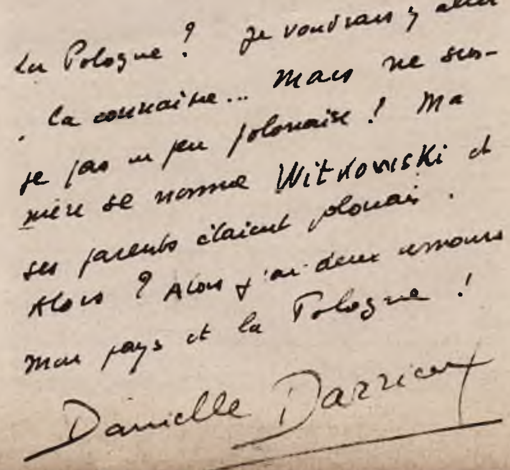
— Jestem zapaloną sportsmanką — mówi Danielle. Pływam doskonale, robię 50 m w 44 sekundach, jeżdżę na rowerze, obecnie bardzo modny sport wśród kobiet, na nartach, konno, prowadzę auto, ślizgam się. Tańczę pozatem jak baletnica, robię w miejscu 17 piruetów.

Otrzymuję piękny fotos z dedykacją dla „Asa“. Proszę artystkę, by przy tej sposobności przesłała też kilka słów i dla Czytelników, tem samem swych dalekich, nieznanych rodaków.

— Z całą przyjemnością — uśmiecha się Danielle. Ale po francusku, nie władam niestety polskim językiem.

Drobnem, nerwowem pismem, pisze: „— Polska? Chciałabym tam pojechać i poznać ją. Bo czyż nie jestem w pewnej mierze Polką? Matka moja nazywa się Witkowska, jej rodzice byli Polakami. A więc mam dwie miłości: mój kraj i Polskę“.

Z. B. (Paryż).





DANIELLE DARRIEUX

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

PULPETY Z MIĘSA DO ROSOŁU. Sporządza się z każdego mięsa wołowego, cielęcego lub z drobiu w ten sposób: 15 dkg mięsa i kawałek łoju od nerki cielęcej miele się na maszynce od mięsa wraz z małą bułeczką rozmoczoną w mleku i wyciśniętą. Dodawszy 2 jaja, szczyptę soli i pieprzu, uciera się farsz przez kilka minut, następnie urabia w zwilżonych wodą dłoniach małe kulki, wielkości orzecha laskowego i rzuca na wrzący rosół. Gotować 15 minut.

PODAWANIE BULJONU Z JAJEM SPOSOBEM FRANCUSKIM odbywa się trochę inaczej, niż to u nas jest w zwyczaju. Mianowicie podaje się bardzo gorący w metalowych filiżankach, jaja zaś osobno w skorupkach z małym otworem, przez który wycedzono białko. Gość wyrzuca żółtko ze skorupki na talerz, poczem podający wylewa buljon na żółtko. Ostateczny rezultat ten sam, jak i przy zwykłem podawaniu. Jest tylko może jeszcze jedna sposobność stawiania jaj w skorupkach na świątecznym stole.

SOS ŚMIETANOWY Z CHRZANEM. 1/4 l śmietany z łyżeczką mąki uciera się gładko i zagotowuje wśród ciągłego mieszania. Po odstawieniu z ognia dodaje się 1 dkg tłuczonych migdałów, kostkę cukru oraz szczyptę soli. Wkońcu 3 łyżki tartego chrzanu. Wlać sos do sosjerki, nie gotując więcej, aby chrzan nie zgorzkniał.

BOMBA Z SZYNKI W AUSZPIKU. 20 dkg tłustej szynki przemleć dwa razy. Osobno sporządzić beszamel z 4 dkg masła i tyleż mąki, zalać 1/4 l mleka, zagotować, rozetrzeć na gładką masę i ostudzić. Beszamel miesza się z mieloną szynką, szklanką rozpuszczonego auszpiku, kieliszkiem madery, szczyptą pieprzu i w razie potrzeby solą oraz 1/8 l mocno ubitej kremowej śmietanki. Formę wypłókaną zimną wodą wylewa się auszpikiem, a po jego zastudzeniu i zesztywnieniu, nakłada się wymieszaną masę i zalewa po wierzchu auszpikiem, poczem wstawia się formę do lodu. Bombę ubiera się na półmisku majonezem i piklami.

PASZTECIKI Z SZYNKĄ. Sporządza się tęgie ciasto z 25 dkg mąki, roztartej z 10 dkg masła, 25 dkg przetartych gotowanych lub pieczonych ziemniaków, 1 całego jaja i 1 żółtka, pół łyżeczki soli i 2 dkg drożdży, rozpuszczonych w trzech łyżkach mleka. Ciasto wywałkowuje się, znaczy kółkiem i nakłada na każdy krążek farsz, sporządzony z 40 dkg zmielonej szynki, trzech łyżek parmezanu i wymieszanym z 1—2 żółtek. W ten sam sposób, jak się robi pączki, nakrywa się farsz krążkami ciasta, zagniata brzegi i wykrawuje ostatecznie wycinaczem. Paszteciki rosną w cieple godzinę, poczem się je smaży na rozpalonym mieszanym tłuszczu. Usmażone, gorące jeszcze, posypuje się utartym parmezanem.

POMMES SURPRISES — eleganckie podanie ziemniaczków do pieczystego lub jarzyn. Równej wielkości ziemniaczki gładko obrane i wymyte, obsusza się serwetą, obtacza w mące, zmieszanej z solą, układa w rondlu, natartym masłem i piecze w piecyku. Ładnie zrumienione, ścina się z wierzchu, wydrąża, napełnia farszem z szynki lub jakiejkolwiek pieczeni, zmieszanym z majonezem lub z śmietaną, przykrywa wierzchołkiem, podgrzewa w piecyku i używa jako garnituru do pieczystego itp.

BISZKOPT Z SOKIEM PONCZOWYM. Na tę legominę nadaje się nietylko umyślnie sporządzony biszkopt, ale także dobra a czerstwa już babka. Biszkopt przekrawuje się przez pół, zaś babkę kraje się w centymetrowej grubości płatki i układa na półmisku. Wyciśnięty z dużej pomarańczy sok, miesza się z kieliszkiem rumu, ocukrza, o ile zajdzie potrzeba i polewa miejsce w miejsce przygotowane pieczywo. Dobrze zwilżone, ubiera się po wierzchu bitą śmietanką lub płatkami obranej z łupki pomarańczy.

ZUŻYTKOWANIE POZOSTAŁYCH OD PIECZYWA BIAŁEK. Do pieczywa drożdżowego używa się zazwyczaj samych żółtek, białka zaś zostają i niewiadomo, co z niemi począć. Jednym z sposobów ich zużytkowania jest wyrób pianek, czyli tzw. bezów. W tym celu zlewamy białka do garnuszka, dodajemy mączki cukrowej, licząc 5 dkg na 1 białko i ubijamy na parze tak długo, aż się utworzy gęsta piana. Na woskiem potartą blachę wyciska się ubitą pianę aparatem lub wykłada łyżką okrągłe spiczaste kopeczki i suszy je w letnim piecu przez kilka godzin. Dobrze ususzone przechować można przez długi czas w zamkniętem naczyniu. Na legumine podawać je można przybrane konfiturami z bitą śmietaną kwaśną. Doskonałe są też wydrążone i napełnione ubitą kremową śmietanką z dodatkiem łyżeczki miałko zmielonej kawy i cukru, lub też z tartą czekoladą i zlepiane następnie po dwa razem.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Dzielenie zarówno jabłek, jak też ziemniaków przyczynia gospodyni nieraz dużego kłopotu, zwłaszcza jeżeli się chce, aby podział wypadł dokładnie. „Sprzymierzeńcem" w takich wypadkach jest obok zreprodukowana maszynka, do której wkładamy ziemniaki czy jabłka, mające być pokrajane. Jedno naciśnięcie rączki powoduje pokrajanie na paski, kostki itd. zależnie od nastawienia maszynki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 14	**Marzec** 31 dni
NIEDZIELA **28** Wielkanoc	Śniadanie z zimnych dań. Barszcz w fili= żankach. Bomba z szynki w auszpiku. Pular= da pieczona z sałatkami majonezowemi. Kompot z konserw. Torty. Owoce. Sery. Czarna kawa. Kolacja: Szynka z sosem chrzanowo-ja= jecznym. Torty, ciasta, owoce.
PONIEDZ. **29** Poniedz. Wielk.	Rosół z drobiu z pulpetami. Paszteciki z szynką. Indyk z pommes surprises. Kom= pot z suszonych owoców. Tort orzechowy z bitą śmietaną. Ciasta świąteczne. Kolacja: Wędliny z sosem tatarskim.
WTOREK **30** Kwiryna	Zupa z szynki z grzankami. Omlet z grzy= bami. Szynka smażona w cieście, z fritkami i sałatą z kiszonej kapusty. Róże Wielka= nocne. Kolacja: Jaja na szynce.
ŚRODA **31** Balbiny, Kornelji	Grochówka na kości z szynki z grzankami. Rizotto. Zraziki cielęce siekane, w sosie naturalnym, z krokietkami lub purée ziem= niaczanem. Legomina z czerstwej babki z sokiem ponczowym. Kolacja: Miseczki kiełbasiane z szpinakiem
CZWARTEK **1** Hugona bisk.	**Kwiecień** Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa z sosem śmietanowym z chrzanem lub szczy piórkiem. Pieczeń nerkowa z marchewką. Su= szone śliwki w kompocie. Kolacja: Jaja w śmietanie.
PIĄTEK **2** Franciszka z P.	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Kne= delki bułczane z grzybowym sosem. Szczu= pak lub lin w maśle sardelowem z ryżem. Bezy z śmietaną. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
SOBOTA **3** Ryszarda bisk.	Zupa jarzynowa purée. Brukselka z masłem. Pieczeń wołowa na dziko z makaronem. Ser= nik. Kolacja: Parówki w pomidorowym sosie.

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

CZARNA PRIMADONNA



Z „TEATRU MALICKIEJ"

Rumuńska komedja „Zamieszaj" osiągnęła w „Teatrze Malickiej" w Warszawie setkę przedstawień, podobnie jak poprzednie sztuki, cieszące się w tym teatrze niebywałem powodzeniem. Z okazji tego „jubileuszu" zamieszczamy fotografję świetnej artystki filmowej, niezwykle urodziwej Iny Benity, która w komedji „Zamieszaj" stwarza prawdziwą kreację, dając wyborną, rozkoszną postać komedjową.

Fot. M. Bill — Warszawa



WYSTĘPY IRENY EICHLERÓWNY

Irena Eichlerówna, znakomita artystka dramatyczna, która zajmuje obecnie czołowe stanowisko wśród młodego pokolenia polskich artystów scenicznych, bawi od kilku tygodni na gościnnych występach w Teatrze Wielkim we Lwowie, biorąc udział w przedstawieniach komedji W. Sardou „Madame Sans Gêne". Każda kreacja Ireny Eichlerówny jest niezwykle ciekawa i świadczy o jej wielkim talencie i kunszcie artystycznym.

Fot. Van Dyck — Lwów.



Przed kilku dniami odbył się w sali Starego Teatru w Krakowie koncert Katarzyny Jarboro, „czarnej" primadonny opery w Chicago. Zarówno egzotyczne pochodzenie koncertantki, jak i walory jej śpiewaczego kunsztu spowodowały, iż recital wzbudził duże zainteresowanie wśród muzykalnej publiczności. W czasie pobytu w Krakowie artystka odwiedziła tutejsze studjo Polskiego Radja, wyrażając się o jego urządzeniach niezwykle pochlebnie.

Fot. „As".

OLA OBARSKA I JERZY LAWINA NA TOURNÉE PO NIEMCZECH

W początkach stycznia b. r. wyjechała do Berlina Ola Obarska, która wystąpiła tam na kilku wieczorach lekkiej piosenki. Niezwykłe powodzenie występów naszej sympatycznej artystki skłoniło dyrekcję berlińskiego teatru rewjowego „Scala" do zaangażowania jej razem z partnerem, Jerzym Ławiną, młodym, utalentowanym piosenkarzem, do specjalnie dla nich zmontowanej rewji, w której duety jazzowe, śpiewane w języku polskim przez Obarską i Ławinę, stanowiły dla Berlińczyków niezwykłą atrakcję. Prócz tych duetów artyści nasi wystąpili jeszcze w groteskowych skeczach muzycznych, umożliwiających im rozwinięcie również i aktorskich umiejętności. Sukcesy berlińskie Oli Obarskiej i Jerzego Ławiny odbiły się głośnem echem w całej prasie niemieckiej, co spowodowało dalsze występy w innych miastach Niemiec. Obecnie sympatyczna para bawi w Magdeburgu, skąd przesyła na obok zamieszczonem zdjęciu pozdrowienia dla Czytelników „Asa".



Uroda na poczekaniu!

— Daj spokój! Nie pudruj się na oczach tylu ludzi! Za moich czasów....

— Bój się Boga dziecko! Któż widział malować się jak kokota! Za moich czasów...

Takie i tym podobne uwagi słyszy często współczesna generacja kobiet od babek. One same są zwolenniczkami tego, co Francuz nazywa z takim wdziękiem *„corriger la nature"*. Pogotowie kosmetyczne, zapewniające poprawę urody na poczekaniu, jest dzisiaj nieodłączną sztuką i zdobyczą płci pięknej. Chodzi jednak o to, aby istotnie „poprawić naturę", a nie zmieniać ją z pozbawieniem cech wrodzonych. A mało jest kobiet, które istotnie opanowały tę sztukę, jeszcze mniej takich, które mają ochotę obarczać się balastem rekwizytów urody w podręcznej torebce, wypełnionej i tak portmonetką, kluczykami, chusteczką do nosa, legitymacjami i t. p.

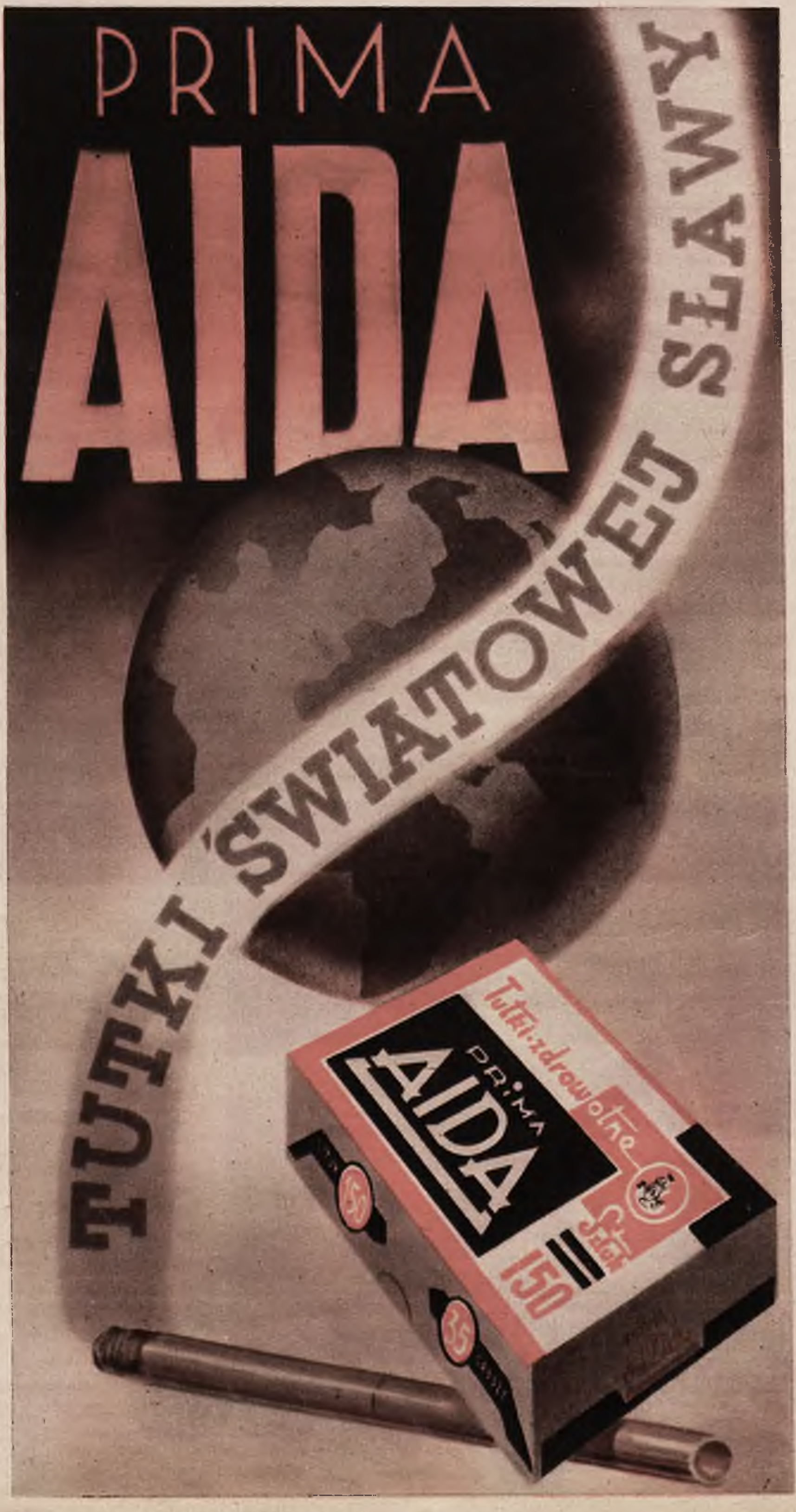
Zrozumieli to zawodowi kosmetycy. Wyzyskali potrzebę i konjunkturę, zakładając t. zw. pogotowia maquillage'u. Są to urządzone z największym komfortem, celowością i wygodą „stacje ratunkowe urody", salony kosmetyczne, nie zmuszające klientki do długotrwałych rekonstruujących urodę zabiegów, lecz na poczekaniu nadające świeżość, oraz wygląd odmłodzony i pielęgnowany. Kobieta, która zapomniała zaopatrzyć się we wszystkie kosmetyki, do których ma zaufanie, albo też nie chce się obarczać tym balastem, wchodzi do salonu kosmetycznego przed wyjściem na ulicę lub udaniem się na bal itp. i po kilku minutach opuszcza salon, wymalowana artystycznie, z dyskretnem uwzględnieniem wrodzonych cech urody.

Gabinety kosmetyczne, upiększające twarz à la minute, są bardzo poszukiwane nietylko ze względu na maquillage prawdziwie fachowy, ale także z uwagi na zaoszczędzenie czasu klientce. Ileż to cennych chwil trzeba nieraz stracić przed lustrem, niezawsze dobrze oświetlonem, aby upiększenie wypadło naturalnie i wracało blask urody po wyczerpującej pracy, lub po długiej podróży! Takim właśnie często bezowocnym trudom zapobiegają pogotowia kosmetyczne, w których zdobywa klientka piękny wygląd na poczekaniu.

Mab.



Oto, jak pracuje „pogotowie kosmetyczne" w Hollywood (na krześle artystka Winifred Shaw).
Fot. Fuerst — Paryż.



Poniżej: Czasem należy pomóc naturze nawet podczas jazdy na nartach...
Fot. Z. Borzęcki — St. Moritz.





Start odbywa się z bramki, którą tworzą czerwono-białe kule... *(L'Illustration).*

GOLF
sport high-life'u



Zwolennicy golfu stanowią jakgdyby oddzielną grupę w wielkiej rodzinie sportowej. Przedewszystkiem powodem tej pewnego rodzaju izolacji są kwestje materjalne, tereny bowiem, które służą im za pola gry, położone są zdala od normalnych terenów sportowych i muszą posiadać specjalne właściwości. Leżą one poza obrębem miast i nie dociera do nich miejski hałas. Najczęściej położone są w jakiemś barwnem otoczeniu, na łagodnych wzgórzach nadmorskich, wśród pagórkowatych pogórzy, ozdobionych lasami i zagajnikami.

Wyznawcy tego sportu izolują się także — możnaby to nazwać — społecznie, gdyż stanowią część tej elity sportowej, którą w Anglji nazywają „the happy few", a w Niemczech „die oberen Zehntausend" i w której reprezentowane są wysokie sfery arystokracji, finansów, wielkiego przemysłu i wolnych zawodów. Przeważnie prezesi klubów golfowych wybierani są z pośród baronów, hrabiów i markizów i to niezależnie od kraju.

Łatwo zrozumieć, że kluby golfowe nie przyjmują pierwszego lepszego. We Francji naturalna selekcja odbywa się też drogą wygórowanych wpłat. Tak np. przeciętnie wpisowe do klubu golfowego wynosi dwa tysiące franków, a roczna wkładka tysiąc franków. Dodać do tego trzeba, że ekwipunek golfowy kosztuje około tysiąc franków, a ponadto kosztowny jest dostęp do terenów golfowych, położonych nieraz bardzo daleko od stałej siedziby klubowca. W tych warunkach nie można więc traktować golfu jak każdego innego sportu.

Kandydaci są ponadto bardzo surowo egzaminowani przez specjalne komisje, które odrzucają bezlitośnie zgłoszenie, jeżeli choćby drobiazg jeden nie odpowiada statutowi klubu. Ażeby stać się członkiem klubu golfowego trzeba mieć jaknajlepsze referencje, wstąpienie bowiem do takiego klubu jest przedewszystkiem wstąpieniem do pewnego zamkniętego towarzystwa, które poza rozrywkami sportowemi uprawia specjalny tryb towarzyskiego życia.

Kostjumy grających w golfa są także odrębne i nie przypominają w niczem przeciętnych kostjumów sportowych. Moda golfowa zastosowana jest do wymogów gry i kontrastuje w niej pewna prostota materjałów z wyszukaną rozmaitością kroju i barw.



Młoda sportsmenka nie przerywa gry nawet podczas deszczu, przed którym chronią ją parasol »caddy'ego«. *(L'Illustration).*

Wszystko to jednak wypływa nie z samego charakteru gry w golfa, lecz poprostu ze snobizmu tych, którzy grę tę zaczęli uprawiać i wprowadzili w całym świecie. Golf bowiem nie znajduje wcale pełnego uzasadnienia w tej selekcji towarzyskiej i w elegancji strojów. Jako sport bowiem wybija się on ponad te snobistyczne ramy, stanowiąc doskonały typ gry sportowej. Golf, to doskonałe ćwiczenia lekkoatletyczne dostępne dla wszystkich. Kształtuje on sportowca w doskonałą formę i za uprawianie go daje mu wzamian dobre warunki fizyczne. Uczy zręcznego i szybkiego poruszania się po nierównym terenie, przyczem zaznaczyć trzeba, że odstęp między dziewięcioma dołkami wynosi 4—6 km. Grający w golfa znajduje aż nadto sposobności, ażeby podświadomie oddychać naprawdę pełnemi płucami czystem powietrzem wiejskiem, ażeby ćwiczyć swoje muskuły, uspakajać nerwy, zapomnieć o atmosferze miasta i rozkoszować się pięknością pejzażu. Szczególnie we Francji i Anglji tereny golfowe wybierane są w najpiękniejszych okolicach i któryż z turystów, chociaż niema pojęcia o golfie, nie zachwyca się zwiedzając pola klubów golfowych w Deauville, w Chiberta, w Hossegor i na Lazurowem Wybrzeżu!

Chociaż tak wielki jest czar przyrody, jaka z samego założenia otaczać musi tę grę, jednak golf nie jest

Dokończenie na str. 39 -ej



W Kole: Książę Windsoru, uchodzący za mistrza w golfie.



»Caddy« sygnalizuje czerwoną chorągiewką, że piłka zatrzymała się na brzegu otworu... *(L'Illustration).*



Pisanka o święconem

WŁADYSŁAW JON

Od chwili wydania pierwszego prawdziwego czasopisma, rok rocznie, *około Wielkiejnocy* — ukazują się okolicznościowe feljetony, pełne optymizmu, pachnące wiosną i smakowitą wonią „święconego", mieniące się barwami pisanek.

Czy szanowni czytelnicy zdają sobie łaskawie sprawę, *ile* od tego czasu napisano feljetonów, we wszystkich pismach chrześcijańskiego świata?! Jest to liczba tak ogromna, że, gdyby szpalty z temi feljetonami ułożyć jedna za drugą — utworzyłyby trakt aż do odległej gwiazdy, skąd *światło* wędruje 100 lat, a *opal* — wogóle nie dociera!



„*pijąc stary miód z omszałego gąsiora...*"

Lecz mimo tak absolutnego wyczerpania tematów wielkanocnych, biedni feljetoniści nie mogą się wykręcać *sianem*, które podściela się pod obrus na stole wigilijnym, lecz muszą ochoczo i z werwą zaaplikować nowe sto wierszy optymizmu, ugarnirowanego rzeżuchą. Zwykły feljeton wielkanocny rozpoczyna się od słów: „*Rozkołysały się dzwony...*" — a kończy: „*Alleluja, alleluja, wesoły nam dzień nastał!*". Zapewne, że *wesoły* dla biednego autora, który wreszcie zepchnął kłopot z głowy!... Rzecz oczywista, że między dwonami a wesołym dniem trzeba powołać się na pisanki, mazurki i „święto wiosny"...

Ponieważ jestem feljetonistą z większemi ambicjami, postanowiłem napisać coś zupełnie odrębnego. Coś niepowszedniego, coś, czego jeszcze nie było! Zastanawiałem się dość długo, łamiąc się ze sobą głową, niby jajkiem wielkanocnem. Aż wreszcie *mój „Pelikan" zagdakał radośnie:* — Jest! Pomysł, *jak złoto*. I co najważniejsze, że *bez próby*, bo jeszcze czegoś podobnego nikt nie próbował.

Zapadła uchwała: Napiszę feljeton, w formie *scenarjusza filmowego!* Jako prawy obywatel muszę oczywiście napisać scenarjusz do polskiego filmu. A w nim będzie wszystko od *A do Z, to znaczy: od Alleluja, do Zmierzchu,* na cichej, sielskiej wsi polskiej.

Najpierw nieodzowny „*forszpan*": „*Już za chwilę — przeczytacie — fenomenalny scenarjusz — GENJALNE ARCYDZIEŁO! — Super-krótkometrażówka p. t. „Święcone w Polsce". — Hypertrofja pomysłów — coś, czego oko ludzkie nie widziało, a pióro ludzkie nie pisało!! — natchniony drehbuch gigantycznego dzieła polskiej filmji!*".

A teraz — zaczynamy:

Wieś polska. Staw, a wedle stawu grobla. Na stawie pływają *kaczki* — dziennikarskie, o zaręczynach Zacharewicza z Gretą Garbo. Łąka. Na łące pastuszek. Siedzi i *pasie* swój brzuszek z *dwojaków*, patrząc na swoje ukochane *trojaczki*, chodzące jeszcze *na czworakach*. Muzyka: „Wedle mego ogródeczka". Na stodole bocian. Stoi na jednej nodze. Na zdjęcie bociana nasuwa się zdjęcie kieliszka, stojącego również *na jednej nodze* (genjalny trik reżyserski!).

Kieliszek stoi na stole, ustawionym w podkowę, żeby się szczęściło. Dokoła stołu chodzi stary lokaj z siwą głową, w bekieszy szamerowanej, z kołpakiem sobolim na głowie. Dziedzic stoi na środku sali, *popuszczając pasa* słuckiego, pijąc stary miód, prosto z omszałego gąsiorka. Muzyka: „Gęsi za wodą, kaczki za wodą".

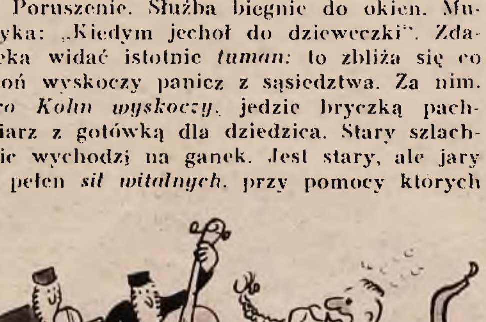
— Nie zapomnijcie, Macieju, postawić *soli* — (mówi dziedzic, podkręcając wąsa z waszecia) — bo przysłowie mówi, że chlebem i solą ludzie ludzi niewolą, mosterdzieju!

— *Bolą?* Zęby jaśnie pana bolą? — pyta przygłuchy Maciej, przykładając dłoń do ucha (kapitalny i nowy żart!).

Czworaki. Służba, ubrana w rozmaite stroje ludowe, obrazujące bogactwo takichże strojów w Polsce, maluje na gwałt pisanki. Zbliżenie młodego junaka, z jajkiem w jednem ręku, z pendzlem w drugiem. Wchodzi Krysta, hoża dziewoja w pasiaku z wstążkami, z szaszłykiem baranim na głowie.

— Adyć goście jadą! — woła.

Poruszenie. Służba biegnie do okien. Muzyka: „Kiedym jechoł do dziewczki". Zdaleka widać istotnie *tuman:* to zbliża się co koń wyskoczy panicz z sąsiedztwa. Za nim, *co Kohn wyskoczy*, jedzie bryczką pachciarz z gotówką dla dziedzica. Stary szlachcic wychodzi na ganek. Jest stary, ale jary i pełen *sił witalnych*, przy pomocy których *wita* gości. Wszyscy wchodzą do sali i zajmują miejsca przy stole. Jest między gośćmi komornik w galowym mundurze, ale nawet on, przy tem święcie pojednania, *zajmuje tylko jedno krzesło*. Zbliżenie jajek. Wszyscy ze wzruszeniem zdejmują ze ścian stare *rusznice*, aby ucałować się *z dubeltówki*.



„*Dziedzic puszcza się w tany...*"

— Niech Maciej naleje wódki — mówi szlachciura.

— *Krótki?* — dziwi się starowina (*pyszny i nowy żart!*).

Po pierwszym kieliszku dziedzic mówi:



„*za nim co Kohn wyskoczy jedzie pachciarz...*"

— A teraz jeszcze jeden kieliszek, żeby było *do pary!*

Muzyka: „Niechaj żyje *para* młoda!".

Gwar rośnie, jak na drożdżach. Kurzy się z czupryn. Zbliżenie *czupryn i kurzu*. Goście wstają od stołu. Niektórzy siadają do kart. Dziedzic, stary rojalista, zabija przeważnie *królem*. Tylko raz jeden zabija waleta rodzinną *Białą Damą*. Tymczasem na *klepisku*, gdzie klepie biedę służba folwarczna, kończy się święcone.

— Może potańczymy? — woła rosły parobczak, chłop, *jak dąb*. (Zbliżenie dębu).

— *Poniańczymy?* — dziwi się babcia junaka (*nowy, wspaniały kawał!!*).

Tańczą. *Wynajęta* orkiestra żydowska gra, *jak najęta*. Dziedzic wychodzi z gośćmi na ganek. Skrzypek, ujrzawszy go, gra *od ucha:* zbliżenie ucha. Muzyka: „Grajże grajku a wesoło".

Dziedzic podkręca wąsiska, poczem podchodzi do dziewoi w szaszłyku:

— A może asindźko zatańczymy, mosterdzieju?

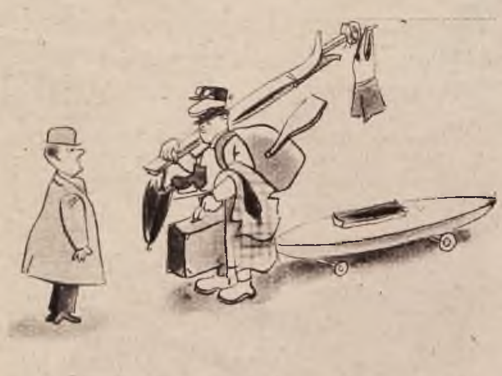
Dziedzic puszcza się z dziewoją w tany, a dziewoja podejmuje go pod *nogi*, z należnym szacunkiem. Zapada mrok. Słychać kumkanie żab oraz pastuszka, grającego *na fujarce*. Goście wracają do dworku i *grają na dwóch taljach*. Słychać *kumkanie bab.*

— Niech Maciej zapali *światło* — mówi dziedzic.

— *Spadło??* Co spadło? — (*rewelacyjny, najnowszy dowcip*).



WYJAZD NA ŚWIĘTA.



— *Co? Z takim ekwipunkiem?*
— *Tak, chcę być przygotowany na wszelkie ewentualności!* Rys. Charlie.

PAMIĘĆ.



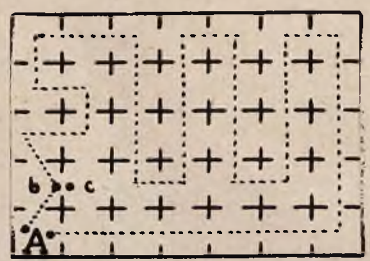
— *Moja żona ma straszną pamięć!*
— *Wszystko zapomina?*
— *Przeciwnie, wszystko pamięta!*
Rys. Charlie.

Rozwiązania z N-ru 12-go.

MIASTO UNIWERSYTECKIE.

Śmiertelność w mieście jest bardzo mała, bo w niem mieszka dużo młodzieży.

TRUDNY PROBLEM.



Z rysunku widać, że droga więźnia nie napotyka trudności aż do B. Doszedłszy do tego punktu, więzień powinien jedną nogę umieścić w sąsiedniej celi C i powiedzieć: „ponieważ jedna noga jest w celi C, więc niewątpliwie wszedłem do niej — a teraz kiedy nogę cofnę, nie wchodzę do celi B powtórnie — poprostu dlatego, że z niej jeszcze nie wyszedłem".

CENNE WSKAZÓWKI ŻYCIOWE.



— *Przyrzekałeś mi, że święta spędzimy w Zakopanem...*
— *Nie ufaj ludziom, moje dziecko!*
Rys. Charlie.

ORZECHY.

Ciotka Marta kupiła 1021 orzechów. Tomek otrzymał 256; Basia 192; Romek 144; Janka 108. Dziewczynki otrzymały 300, a chłopcy 400 — dla siebie ciotka Marta zostawiła 321 orzechów.

DOCHODOWE PRZEDSIĘBIORSTWO.

Kupiec posiadał 22.781 zł. 25 gr.

OWCE.

Karol otrzymał 3.456 owiec.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KWADRATOWE OKNO.

W pokoju profesora Ułamka znajduje się kwadratowe okno o krawędzi równej jednemu metrowi. Profesor uważał, że w pokoju jest zbyt jasno, wobec tego zasłonił połowę okna w taki sposób, że w dalszym ciągu miał okno kwadratowe, szerokie i wysokie na jeden metr.

W jaki sposób zasłonił okno?

KOTY I MYSZY.

Jeśli pięć kotów zjada pięć myszy w pięć minut, to ile trzeba kotów do zjedzenia stu myszy w sto minut?

SYNOWIE.

„Cobyście chłopcy woleli — zapytał pewnego dnia ojciec swych synów, Adama i Janka — mieć 1000 zł. pensji rocznie z podwyżką 200 zł. na rok, czy też 1000 zł. rocznie z podwyżką 50 zł. co pół roku"?

„Ja wolę to pierwsze" — rzekł Adam.

„A ja wolę drugie" — rzekł Janek.

Który z nich miał rację?

POWIEDZONKA.

Coś mi się zdaje — rzekł nieprzygotowany student podczas egzaminu.

Chcę się odkuć — rżał źle podkuty źrebak do kowala.

Dokończenie ze str. 37-ej.

tylko pretekstem do takiego powrotu do natury. Jest on w pełnem tego słowa znaczeniu sportem, zawierającym w pięknych ramach te wszystkie warunki i cechy, jakie są nieodłączne w każdej dziedzinie szlachetnego sportu. Jest on sportem niezwykle bogatym, obfitującym w emocje, a szczodrość jego w niczem nie jest uszczuplona przez fakt, że kolebką jego jest Szkocja, ojczyzna przysłowiowego sknerstwa... Zato tem żywiej przyjął się on i rozprzestrzenił niezwykle szybko we Francji, której szeroki gest widoczny jest w tylu dziedzinach.

Mimo wszystko jednak tak zw. szeroka publiczność lekceważy golf, a bardzo często nawet w ustach sportowców, uznających piłkę nożną, wioślarkę, tenis, czy — o zgrozo! — boks, słyszymy uszczypliwe słowa pod adresem tego szlachetnego i poetycznego sportu. Być może, że to niedocenianie golfu jako rasowego sportu spowodowane jest tą właśnie wyżej omawianą jego wyłącznością, selekcją towarzyską i kosztownością. Dlatego też powinno się zmierzać do tego, ażeby rozpowszechnić tę gałąź pięknego sportu, udostępnić ją nietylko bogatym snobom, którzy bardzo często nie potrafią należycie rozsmakować się w urokach tej gry, oraz niejednokrotnie prawem kaduka znajdują się w highlifie jako nuworisze, ale także tym wszystkim, którzyby pragnęli tę grę uprawiać, a nie mogą tego osiągnąć wskutek trudności finansowych. Powinny utworzyć się kluby golfowe wśród młodzieży, a kluby te powinny mieć własne przybory do tej gry, któreby po dostępnych cenach mogły wypożyczać wszystkim chętnym.

Obecnie golf najbardziej jest rozpowszechniony w Anglji, Francji i Ameryce. W Anglji znajduje się kilkaset terenów golfowych, w Ameryce trzy tysiące, we Francji ponad sto. Najliczniejszy klub golfowy we Francji ma siedzibę w Saint-Cloud pod Paryżem i liczy ponad dwa tysiące członków.

W Polsce golf jest prawie nieznany. W prywatnych większych majątkach znajdują się tereny golfowe, ale i tam nawet gra ta jest rzadko uprawiana. Kluby golfowe są tylko dwa — w Warszawie.

Ze względu na warunki terenowe oraz na okoliczność, że prawie pod wszystkiemi miastami w Polsce znajdują się piękne tereny, nadające się doskonale na tereny golfowe i ze względu na specjalne właściwości tej szlachetnej gry, należałoby życzyć sobie, ażeby golf przestał być tylko sportem high-life'u, a stał się sportem popularnym, tak, jak na to w pełni zasługuje. z.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.



A FISHING LADY

Oryginalny kostjum angielski noszony w czasie wypraw wędkarskich. Fot. Imre von Santho